

**EPIZOD PUŁAWSKI
W ŻYCIU
FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO**

Albin Koprucki str. 3

STYPENDIA

Jerzy Dostatni str. 4-5

**Jaki
będzie
las?**

Maciej Podgórski
str. 6



Fot. L. Kącki

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 2 X 1977 Nr 20 (636)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ



Oto zdjęcia koni ze Stadniny w Janowie Podlaskim, która we wrześniu br. obchodziła 160-lecie istnienia. Cały powojenny okres dyrektorem Stadniny był i jest inż. Andrzej Krzyształowicz, który pojawił się na janowskiej Wygodzie jeszcze przed II wojną światową. Za takie konie (i wyniki ekonomiczne przedsiębiorstwa, liczone również w dewizach) składamy dyrektorowi i pracownikom serdeczne gratulacje.

Felieton o malarstwie „końskim” i fotografie z aukcji w Janowie Podl. — str. 10.

Maria i Jerzy Kuncewiczowie o wrześniu 1939

MIROSLAW DERECKI: — Zakończony niedawno telewizyjny serial „Przed burzą” ukazał dramatyczny bieg wypadków rozgrywających się na arenie politycznej i dyplomatycznej Europy w ostatnich miesiącach przed wybuchem II wojny światowej. Wielu Polaków dopiero teraz uświadomiło sobie w pełni atmosferę i stan napięcia panujące wśród ludzi odpowiedzialnych za los państwa przed nadciągającym nieuchronnie konfliktem zbrojnym. Oczywiście tylko nieliczne odgłosy tego, co się działo naprawdę, dochodziły wtedy, w 1939 r., do wiadomości ogółu. Jakie nastroje towarzyszyły ostatnim wakacjom spędzonym przez Panią, sławną już wówczas pisarkę, w Państwie domu, w Kazimierzu nad Wisłą? W jaki sposób oceniał sytuację Pan, człowiek od lat zajmujący się polityką, członek naczelnych władz Stronnictwa Ludowego?

MARIA KUNCEWICZOWA: — Lato 1939 r. spędziłam w Kazimierzu, w domu, który niedawno został zbudowany, w tym właśnie domu, w którym teraz rozmawiamy. Wiosną ukazała się moja ostatnia, przedwojenna publikacja, „Miasto Heroda”, książka wydana przez „Rój”. Były to impresje z nie-

dawnej podróży do Palestyny, Egiptu i Syrii. Ciele zaś długie, kazimierskie wakacje zeszły mi na przemyślowaniu i robieniu notatek do książki, która miała stanowić jakby drugie skrzydło „Cudzoziemki”. Coraz bardziej narastała we mnie potrzeba szerszego rozpracowania motywu męża Róży — jego prototypem był mój ojciec — który jest w tej powieści znacznie stuszowany przez osobę bohaterki. I tak podczas ostatniego przedwojennego lata powstawały pierwsze fragmenty „Męża Róży”, książki, która nigdy się nie ukazała. Przynajmniej w jej wówczas zamierzonym kształcie...

M. D. — Ale niektóre fragmenty ukazały się przecież w jednym z ostatnich numerów „Wiadomości Literackich”...

M. KUNCEWICZOWA: — Tak. I nawet przypominam sobie, że zaraz po ukazaniu się tego numeru zatelefonował do mnie Tuwim z gratulacjami. Szczególnie podobały mu się te partie tekstu, które nasy-

Dokończenie na str. 8



Fot. J. Mirosław

Edmund Pietryk

znalem matkę pewnego poety o oczach
w których zgasły pierwsze wiersze syna
w marnym diademie słów cierniowych
w których się spłotyły niemy ból i wina

i w takim śmiecznym kapeluszu
i z takim życiem z takim głodem
z tą ślepią siłą w kleszczach losu
i z takim w duszy wielkim miodem

na szorstkim palcu z tym naparstkiem
na białych ustach z tym uporem
nadziei dawnych żywny zagon
z dzisiejszym miesza się ugorem

i tylko nocą w ciszy sennej
tak niemo pogodzona z losem
w konfesjonale wierszy syna
z bólu spowiada się półgłosem

Na dobrej drodze odprężenia

PRYZJAZNE kontakty polsko-francuskie mają swoją wielowiekową tradycję i wiedzą o tym wszyscy zarówno nad Wisłą jak i Sekwaną. Serdeczność tych kontaktów nigdy nie podlegała dyskusji i to ma także swoje znaczenie. Ale w polityce międzynarodowej liczą się przede wszystkim realia.

Realia są zaś takie, że tak Polska jak Francja chcą pokoju, dla siebie i dla innych. Działają skutecznie na rzecz odprężenia, przede wszystkim w Europie. Oba państwa dawno zakończyły powojenną odbudowę i z widocznymi skutkami zyskują coraz wyższą pozycję w świecie. Wyznają zasadę współistnienia mimo różnych przeciwstawnych ustrojów społeczno-politycznych.

Ostatnia wizyta I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka we Francji jeszcze wzmocniła te wszystkie więzy, wspólne zainteresowania i cele. Prasa codzienna przyniosła obszernie relacje z umów o nową, jeszcze szerszą niż dotąd wymianę gospodarczej, kulturalnej i naukowo-technicznej, podkreślając zbliżenie poglądów na zasadnicze problemy współczesnego świata. Mówili też o tym w swoich wystąpieniach zarówno Edward Gierek jak i prezydent Giscard d'Estaing, musiała to nawet potwierdzić nieprzychylna nam programowo prasa w niektórych krajach.

A jak bardzo światu potrzebna jest jeżeli już nie współpraca, to przynajmniej odprężenie, świadczą dwa rozpalające się ogniska wojny. Jedno, to na Bliskim Wschodzie, już od lat zatruwa atmosferę świata. Wciąż wojownicza, nawet wzrastająca w tej wojowniczości postawa Izraela, znowu doprowadziła do niebezpiecznego napięcia. Odmawiając Palestyńczykom prawa do własnej ojczyzny, okupując arabskie terytoria, Izrael zapominał, że sam wiele lat walczył z kolonializmem angielskim właśnie o własną ojczyznę, że terytorium, które miało się stać państwem Izrael, przez wiele lat było okupowane przez obce wojska.

Mimo że świat arabski wciąż nie może uzgodnić wspólnego stanowiska i wspólnego działania przeciw agresorowi, Izrael stałby na z góry straconej pozycji, gdyby nie był obficie zaopatrywany w broń amerykańską. Wprawdzie prezydent Carter przez swojego sekretarza stanu Vance'a próbował wpłynąć na uspokojenie umysłów w tym zapalnym punkcie świata, wprawdzie zgnił zakładanie przez Izrael osiedli na prawym brzegu Jordanu, nie wpłynęło to jednak na zmniejszenie dostaw samolotów, czołgów, artylerii i innego rodzaju broni oraz nowoczesnych środków łączności wojskowej.

Związek Radziecki jako współprzewodniczący konferencji do spraw Bliskiego Wschodu przedstawił różne propozycje, zmierzające do zwołania tej konferencji i załatwienia najbardziej istotnych problemów. Drugi współprzewodniczący, Stany Zjednoczone, oficjalnie też dąży do zwołania tej konferencji. Cóż jednak z tego, jeżeli czynnie popiera jej broni i nie wywierając nacisku gospodarczego, na jaki go stać?

Drugim punktem zapalnym jest konflikt somalijsko-etiopski. Nadchodzące z „rogu Afryki” wiadomości są skape i często sprzeczne, raz konflikt przeradza się już w prawdziwą wojnę, innym razem pojawiają się gesty pokojowe.

Wzmocnienie autorytetu i skuteczności działania ONZ dla pogłębienia odprężenia, utrwalenia pokoju, bezpieczeństwa i współpracy międzynarodowej, powinno być osiągnięte poprzez pełniejsze zastosowanie możliwości zawartych w jej Kartie — oto wyjątek z deklaracji, podpisanej w Paryżu przez Edwarda Gierka i Valerego Giscard d'Estaing.

20 września rozpoczęła się w Nowym Jorku XXXII sesja Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych. Wśród ponad 120 punktów porządku dziennego znajdują się sprawy niebezpiecznego i kosztownego wyścigu zbrojeń, groźba rozprzestrzeniania się broni nuklearnych, ogniska konfliktów zbrojnych, ujemny bilans żywnościowy świata, problem energetyczny, inflacja i bezrobocie. Sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim podkreślił, że jeżeli nie zostanie osiągnięty istotny postęp w dziedzinie rozbrojenia, ONZ nie będzie mogła wypełnić zadań, wypływających z jej Karty.

W tym właśnie kierunku, czego widomym wyrazem była właśnie wizyta naszego przywódcy we Francji, Polska, Związek Radziecki i inne kraje socjalistyczne działają nie od dzisiaj. To w wyniku wielu propozycji i sugestii naszego obozu za kilka miesięcy odbędzie się specjalna sesja ONZ, poświęcona sprawom rozbrojenia. Stanie się tak mimo zabiegów kół militarystycznych na Zachodzie, które wciąż jeszcze potrafią zwiększać sumy przeznaczone na zbrojenia, finansować badania nad wynalezieniem nowych broni masowego zniszczenia, a nawet — pod pozorem przeciwdziałania brakom energii — sprzedawać innym państwom urządzenia i surowce, potrzebne do produkcji broni nuklearnej.

ONZ liczy już 149 członków. Ostatnim z nich jest Socjalistyczna Republika Wietnamu, przyjęta na pierwszym posiedzeniu tej organizacji. Naród wietnamski przez 30 lat walczył nieugięcie o wolność i jedność, oparł się nawet, a raczej odniósł zwy-

cięstwo nad potęgą militarną USA. Jednak przez blisko trzy lata wskutek kilkakrotnego weta amerykańskiego socjalistyczny Wietnam nie mógł być przyjęty w poczet członków tej międzynarodowej organizacji, chociaż był czynnym członkiem wielu organizacji związanych z ONZ, a ponad sto państw nawiązało z nim stosunki dyplomatyczne. Ostatecznie zwyciężył realizm i uznanie stanu faktycznego — SRW stała się pełnoprawnym członkiem ONZ.

Równocześnie z sesją ONZ obradują w Genewie eksperci Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ w sprawie ochrony i poprawy środowiska człowieka wraz z racjonalnym wykorzystaniem bogactw przyrody. Przypomnijmy, że to z inicjatywy Polski w roku 1973 podpisano Konwencję Gdańską dotyczącą rybołówstwa i ochrony żywych zasobów Bałtyku. Przypomnijmy, że w grudniu 1975 r. podczas VII Zjazdu PZPR Leonid Breżniew zaproponował zwołanie międzynarodowego kongresu lub konferencji na temat ochrony środowiska naturalnego, energii i transportu, aby rozwiązać te problemy w skali międzynarodowej. Obecna konferencja genewska gromadzi „tylko” 35 państw, sygnatariuszy Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach. W tymże Akcie Końcowym zwrócono uwagę, że problemy ochrony środowiska mają kapitalne znaczenie dla szybko uprzemysławiającego się świata.

4 października rozpoczyna się w Belgradzie Konferencja Bezpieczeństwa i Współpracy Europejskiej, jakby dalszy ciąg konferencji w Helsinkach sprzed dwóch lat. Mimo wielu postępów jest w tej dziedzinie jeszcze wiele do zrobienia, ale jeżeli każde z państw wykaże dobrą wolę i chęć współpracy, konferencja belgradzka może stać się poważnym dalszym krokiem w pokojowym ułożeniu współżycia na naszym kontynencie.

Na zakończenie przypomnienie: 12 października obchodzimy Dzień Wojska Polskiego, rocznicę przełomowej dla nas bitwy pod Lenino. W tym roku mamy szczególny powód do wyrażenia słów uznania i podziękowania naszemu wojsku: za ofiarę pomocy w walce z powodziowym żywiołem, za ocalenie życia wielu ludziom, za ratowanie ich dobytku, za wkład w likwidowanie szkód i odbudowę zniszczeń.

(d)

Koleżankom i Kolegom z Rozgłośni Lubelskiej Polskiego Radia w okazji 25-lecia istnienia Rozgłośni dalszych sukcesów w pracy zawodowej, jeszcze większej popularności wśród słuchaczy oraz powodzenia w życiu osobistym życzy serdecznie

Kolegium i zespół redakcji „Kamery”

NAGRODA „TRYBUNY LUDU”

Kultura dla dorosłych

Wojciech Kurhan

NAGRODA zostali zaskoczeni. Nie dlatego, że brak im poczucia wartości swojej pracy, ale też nie zabiegali o tak wysokie wyróżnienie, i w tak doborowej stawce. Wiele pełne było zaskoczenie, gdy ukazała się „Trybuna Ludu” z datą 13-14 VIII br., gdzie napisano, iż Zakładowy Dom Kultury Zakładów Zmechanizowanego Sprzętu Domowego „Predom-Eda” w Poniatojewie otrzymał doroczną nagrodę „Trybuny Ludu” za kształtowanie i upowszechnianie wartości kultury socjalistycznej.

Nagroda jest zespołowa, i ZDK został uhonorowany obok warszawskiego „Teatru na Woli” oraz zespołu ZHP „Gawęda”. Za aktywizację społeczną, kulturalną, zawodową środowiska robotniczego, a zwłaszcza za popularyzację czytelnictwa i inspirowanie twórczości amatorskiej wyróżniono Poniatojewski ZDK.

Działalność domu kultury, kierowanego przez Annę Wierzbicką, jest bardzo bogata. Trudno tu nawet wymienić wszystkie formy. Zresztą kiedy byłem w Poniatojewie, powiedziano mi, że do placówki zaanonsowała swój przyjazd dziennikarka z „Trybuny Ludu” — na obszerny reportaż. Skoro jednak nagroda „zwłaszcza za popularyzację czytelnictwa”, więc parę słów przede wszystkim o tej najbardziej utartej działalności, uprawianej przez Poniatojewski ZDK.

Biblioteka, kierowana przez Henrykę Matraszek, liczy około 25 tysięcy tomów i jest największa w Poniatojewie. Do księgozbioru, oczywiście, wolny dostęp, co zresztą niekiedy sprzyja

hobbystom, żyjącym na bakier z VII przykazaniem. Przeszło połowa czytelników to pracownicy fizyczni (483 osoby) i umysłowi (308). Za 1976 rok odnotowano 30 243 wypożyczenia.

Dorosłego czytelnika zyskuje się, wychodząc z rozmaitymi konkursami czytelnictwa, ogłaszanymi przez radiowęzeł zakładowy, comiesięcznymi audycjami „Książki, które na ciebie czekają”. Ludzie bywają nieco leniwi, gdy idzie o konsumpcję dóbr kulturalnych; nieodłączna cecha naszej telewizyjnej cywilizacji. Toteż biblioteka ZDK bierze udział w akcjach sprzedaży książek pośród załogi na terenie zakładu.

Cechą charakterystyczną placówek kulturalno-oświatowych w Polsce jest nastawienie przede wszystkim na dzieci i młodzież oraz emerytów. Tych ludzi najłatwiej „zorganizować” w kluby, zespoły, kółka etc. Cechą charakterystyczną ZDK w Poniatojewie są zamierzenia usiłujące przełamać taki model działania. Wydaje się to niezmiernie ważne, a ujawnia się już choćby w pracy biblioteki, acz nie tylko.

Godne uwagi zatem są „prelekcje na zamówienie”. Załoga „Edy” oraz mieszkańcy Poniatojewy wychodzą z propozycjami tematów, a ZDK stara się o prelegentów. W ten sposób uderunkowane odczyty — dla inżynierów, nauczycieli, kobiet, lekarzy... — mają zapewnioną frekwencję. Otrzymujesz mieszkanie — możesz wysłuchać porad architekta wewnątrz. Jesteś młodą matką — powiedzą ci, jak postępować z niemowlakiem...

Personel ZDK bardzo sobie ceni cykl wystaw, zorganizowanych w związku z 60 rocznicą Rewolucji Październikowej przy współpracy KW PZPR w Lublinie. Te wystawy fotografów i plansz cieszyły się w Poniatojewie wielkim po-

wodzeniem — „Polacy w Rewolucji Październikowej”, „Od Lenino do Berlina”, „Armia Czerwona — wyzwolicielka narodów”, „Współpraca gospodarcza między Polską a ZSRR”, „Berlińskie zwycięstwo”.

W grudniu ubiegłego roku zainicjowano w ZDK wystawy plastyki amatorskiej. 13 autorów eksponowało swoje prace: tkaninę artystyczną, metaloplastykę, rzeźbę, malarstwo. Ze Zbysławem Wiczukiem, instruktorem do spraw plastycznych, zgadzamy się, iż nie należy amatorów uszczęśliwiać na siłę warsztatem zawodowca, choć zdarzają się im na przykład makatkowe estman-kolorki. Instruktaz musi być nadzwyczaj dyskretny, delikatny, albowiem amatorska twórczość stanowi bardziej zabawę, pierwszorzędna zresztą i kulturalną, niż tworzenie bezwzględnych walorów estetycznych, co nie oznacza, iż takowe nie mogą się przy okazji ujawnić.

O pieniądzach nie chciano ze mną w ZDK szerzej rozmawiać. Zakład zawsze łoży chętnie na potrzeby placówki, ponieważ rozumie i docenia wpływ działalności kulturalnej na konsolidację załogi, a może nawet i na wyniki produkcyjne, aczkolwiek było-

by to jeszcze zagadnienie do socjologicznego zbadania.

W Czechosłowacji model domu kultury opiera się na połączeniu placówki ściśle kulturalnej z działalnością taneczno-gastronomiczną. ZDK w Poniatojewie realizuje podobne założenia, zaś czynna od godziny 15.00 kawiarnia może być przykładem pięknego rozwiązania wnętrza dla tego rodzaju lokalu. Za sam projekt owego wnętrza zawodowy plastycy zażądali pół miliona złotych i to już była przesada. Własnymi siłami wykonane roboty zamknęły się kwotą kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Do kultury trzeba dokładać w państwie socjalistycznym, ale nikogo to nie powinno zwalniać od obowiązku myślenia gospodarczego, które przecież nie stoi w sprzeczności z głównym założeniem, jakie przyjęli w swej robocie pracownicy Poniatojewskiego ZDK: *W dobre rozwijającej się techniki i cywilizacji nie zaubić indywidualnych potrzeb człowieka, jego ambicji, przyzwyczajęń i tęsknoty do wznieszenia się na coraz wyższe horyzonty doznań kulturalnych.*



ZDK „Eda” w Poniatojewie — wewnątrz kawiarni

Fot. Z. Jaśkiewicz

EPIZOD PUŁAWSKI W ŻYCIU FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO

Albin Koprucki

FELIKS Dzierżyński (11 IX 1877 — 20 VII 1926) był jednym z najwybitniejszych i najbardziej płomiennych działaczy polskiego i rosyjskiego ruchu robotniczego. Przez wiele lat należał do ścisłego kierownictwa rewolucyjnego nurtu w polskim ruchu robotniczym (SDKPiL) oraz do grona najbliższych współpracowników W. I. Lenina. Swoją postawą i działalnością uosabiał nierozdzielną jedność głębokiego patriotyzmu z żarliwym proletariatem międzynarodowym. Całe swoje życie, pracę, szlachetne przymioty charakteru, organizacyjną pasję i wybitne umiejętności rewolucjonisty-konspiratora podporządkował całkowicie idei wyzwolenia klasy robotniczej, oddał na usługi rewolucji socjalistycznej. Po jej zwycięstwie w październiku 1917 roku w Rosji — był jednym z współpracowników i współorganizatorów władzy radzieckiej i pierwszego państwa socjalistycznego. W całym swoim życiu i pracy wierny był głębokiej myśli zawartej w jednym z pięknych listów do siostry Aldony: *Ja nie umiem na wpol nienawidzić czegoś lub kochać, ja nie umiem pół duszy oddać tylko, ja mogę albo całą oddać, albo nie dać.*

F. Dzierżyński miał istotny udział w wydarzeniach rewolucyjnych na Lubelszczyźnie w pierwszych miesiącach 1905 r. Zamyka się ten udział nie tylko w inspiracji i pomocy w pracy Południowego Komitetu SDKPiL, który zorganizowany został w Puławach pod koniec 1904 r., ale w bezpośrednim, osobistym uczestnictwie w organizacji masowego ruchu i walki robotników, ludności wiejskiej, studentów i wojska w Puławskim przeciw caratowi.

Puławy (Nowa Aleksandria) na przełomie XIX i XX wieku były po Lublinie drugim centrum ruchu rewolucyjnego na Lubelszczyźnie. Tradycje walk rewolucyjnych z caratem sięgają lat 70-tych ubiegłego stulecia i wiążą się z wystąpieniami studentów Instytutu Rolnictwa i Lesnictwa. Ścierały się tu koncepcje narodnicze z myślą marksistowską. Na początku XX w. dotarły hasła programowe SDKPiL, PPS, SDPRR. Myśl socjalistyczna propagowana była wśród studentów, robotników rolnych w okolicznych dworcach, wśród robotników i rzemieślników, a także w miejscowym garnizonie wśród wojska. W kierownictwie Komitetu Południowego SDKPiL znaleźli się Polacy i Rosjanie, studenci, robotnicy i pracownicy Instytutu. Do najwybitniejszych należeli: Jan Świdorski, Aleksander Formajster „Olek”, Franciszek Lis, Józef Durak, Marian Stachórski, Edward Próchniak „Sewer”. Komitet utrzymywał ścisłe kontakty z Warszawą, Krakowem, Wilnem, skąd nadsyłano tu literaturę rewolucyjną, „bibulę” oraz prasę partyjną, którą rozpowszechniano wśród żołnierzy, studentów, robotników i rzemieślników.

E. Próchniak wspomina, że pierwszy kontakt nawiązał Dzierżyński z działaczami Komitetu Południowego w 1904 r., kiedy nadeszła z Krakowa pierwszy list z transportem literatury adresowany do Próchniaka, który pracował w tym czasie w Instytucie jako biuralista. W okresie późniejszym korespondencja i przesyłki literatury kierowane były na adres Instytutu. Próchniak wspomina również, że osobiście poznał Dzierżyńskiego pod koniec 1904 r. lub na wiosnę 1905 r. w Puławach. Ta druga data jest bliższa prawdzie, potwierdza ją bowiem sam Dzierżyński i inni działacze puławscy tamtego okresu.

W liście z 13 lutego 1905 r. z Warszawy do ZG SDKPiL F. Dzierżyński

po raz pierwszy bardzo obszernie informował o pracy Komitetu Południowego i Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji, zwracając uwagę na rewolucyjne nastroje żołnierzy garnizonu puławskiego. Podkreślał zarazem, że do faktu tego przywiązuje oibryzmia uw-



Wydawnictwo „Arkady” w setną rocznicę urodzin Feliksa Dzierżyńskiego wydało piękny album pt. „Feliks Dzierżyński w malarstwie i grafice polskiej”. 20 plansz, w tym 8 kolorowych, wszystkie w dużym formacie 38x31 cm, ukazuje tego wielkiego działacza rewolucyjnego podczas wystąpień na wiecach, przewodzenia strajkom i manifestacjom robotniczym. Są więc zarazem ilustracją do historii polskiego ruchu robotniczego. Załączona do artykułu prorektora UMCS doc. dr. Albina Kopruckiego reprodukcja przedstawia Feliksa Dzierżyńskiego na czele manifestacji 1-majowej w 1905 r. — rysunek Jana Zamojskiego. Oprawiony w płótno album kosztuje w wersji polskiej 80 zł, w wersji rosyjskiej 90 zł. Luźne plansze pozwalają na oprawienie ich i trwale eksponowanie w świetlicach, czytelniach i innych pomieszczeniach socjalnych.

gę. Informował ponadto o pracy agitacyjnej wśród robotników i wsiach okolicznych, zaznaczając: *Będę tam wkrótce.* W tym samym liście szczegółowo scharakteryzował nastroje polityczne we wszystkich warstwach społecznych, apelując o przyszłe manifesty do robotników, inteligencji, chłopów i żołnierzy. *Powinno w nich być nasze credo — nasze hasło. Uważam, że to należy postawić na pierwszym planie.* Do sprawy tej powrócił ponownie w liście z 23 lutego 1905 r., gdy nalegał na kierownictwo Zarządu Głównego SDKPiL: *Manifest do chłopów tu potrzebny. Dólcie wszelkich starań, by wystać nam chociażby rękopisy manifestów.*

To natężające naganie na opublikowanie manifestu-odezwy do chłopów w pierwszych tygodniach rewolucji dyktowane było konkretnym zapotrzebowaniem społecznym. Już w tym bowiem czasie doszło w wielu rejonach Królestwa Polskiego, szczególnie na Lubelszczyźnie, do masowych ruchów chłopskich, a następnie pierwszych strajków robotników rolnych. Określenie stanowiska SDKPiL w tej sytuacji wobec ruchu agrarnego wydawało się konieczne, niezależnie od generalnie błędnego stanowiska partii w kwestii rolnej. Z najnowszych badań dziejów rewolucji 1905—1907 r. wynika jednoznacznie, że właśnie pod wpływem nalegań F. Dzierżyńskiego

Zarząd Główny wydał w marcu 1905 r. odezwę pt. „Słowo do braci włościan” z wezwaniem do chłopów o poparcie w walce przeciw caratowi. Odezwa nie sprecyzowała w sposób klarowny miejsca warstwy chłopskiej w rewolucji ludowo-demokratycznej jako najbliższego sojusznika klasy robotniczej w jej walce z uciskiem i wyzyskiem burżuazyjno-obszarniczym.

Mimo błędnego stanowiska SDKPiL w kwestii chłopskiej — Komitet Południowy i puławscy działacze partii nadawali odpowiednią rangę pracy agitacyjnej na wsi Oto w sprawozdaniu za pierwszy kwartał 1905 r. pisano: *Obecnie właściwe zadanie Komitetu stanowi robota wśród chłopów i ludności rękodzielniczej. (...) Wśród chłopów i rękodzielników organizacja nasza prowadzi robotę przy pomocy ustnej agitacji i za pomocą szerzenia wydawnictw partyjnych. (...) Nastroj mas doskonały — zarówno chłopi, jak i robotnicy przejawiają ogromne rewolucyjne usposobienie. W świetle dotychczasowych badań uwagi Komitetu Południowego o rewolucyjnych nastrojach wśród ludności chłopskiej nie wydają się przesadzone, a wpływy SDKPiL na wsi lubelskiej były największe w skali całego Królestwa. Potwierdził to Dzierżyński (Frankowski) na V Zjeździe SDKPiL w Zakopanem w 1906 r., że z wyjątkiem Lubelskiego, gdzie nasza organizacja partyjna prawie wyłącznie opiera się na włościanach, nigdzie prawidłowej organiza-*

że ten drugi pobyt w Puławach spowodowany był dwoma faktami. Po pierwsze, chęcią bezpośredniego uczestnictwa w pracy agitacyjno-rewolucyjnej na wsi, do czego przywiązywał dużą wagę. Po drugie, wzrostem rewolucyjnych i antywojennych nastrojów wśród wojska. Już bowiem w liście z 21 marca zwracał uwagę Zarządowi Głównemu, że na skutek pracy Komitetu Południowego i Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji w wojsku gwałtownie wzrosło rewolucyjne napięcie wśród żołnierzy i że *potrzebny jest ktoś, kto by zajął się tym specjalnie. Czy pozwolić mi to większą część mego czasu i pracy.* Pod koniec marca Komitet Południowy i WRO zorganizowały szereg zebrań i wieców żołnierzy, które odbywały się najczęściej w Dolach Skowieżczyńskich, a w których uczestniczyło po kilkuset żołnierzy i studentów. Swoją antywojenną postawę żołnierze manifestowali prawie otwarcie na ulicach miasta.

Sytuacja jeszcze bardziej się zaostriżyła w połowie kwietnia, gdy rozeszła się wieść, że część żołnierzy 71 pułku bielewskiego i 72 tuiskiego pułku piechoty zostanie wysłanych na front. Żołnierze i WRO domagali się od Komitetu Południowego podjęcia decyzji o wywołaniu powstania zbrojnego. Informacje te dotarły do Dzierżyńskiego w Warszawie, który domagał się z kolei, aby Zarząd Główny delegował do Puław Leona Jogichesa Tyszkę celem objęcia politycznego kierownictwa powstaniem. Kierownictwo wojskowe miał objąć Włodzimierz Antonow-Owsiejko, znany działacz Warszawskiego Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji. Wybuch powstania planowano z 22 na 23 kwietnia 1905 r. Wystąpienie wojska miało być poparte przez ludność chłopską. Jednocześnie organizatorzy planowali proklamować w dniu 23 IV 1905 r. w Puławach Manifest Południowego Komitetu pt. *Do wszystkich trudniących się zarówno na roli, jak i w warsztatach, do robotników i chłopów.*

W ostatniej chwili plan wywołania powstania został odwołany przez Komitet Południowy. Nowy termin ustalony został na 27 kwietnia. Do Puław wyjechał F. Dzierżyński, Adolf Warski, Wł. Antonow-Owsiejko. Był także E. Próchniak. Powstanie w garnizonie miało być wsparte przez równoczesny atak uzbrojonych grup na środki łączności, magazyn z bronią i bezpośrednią pomoc żołnierzom. O planowanym powstaniu poinformowani byli także działacze Polskiego Związku Ludowego, którzy mieli zmobilizować ludność chłopską do wsparcia żołnierzy, robotników i studentów.

Próba wywołania powstania nie powiodła się. Zbuntowani żołnierze zostali rozbici przez oddział kozacki. W czasie tej akcji zginął Andriej Burobin „Mówca”, znany agitator i działacz Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji w Puławach. Podczas tej nieudanej próby wywołania powstania zbrojnego w Puławach Dzierżyński tylko dzięki szybkiemu refleksowi, z którego słynął, uniknął aresztowania, a wraz z nim Warski i Próchniak. Fakt ów odnotowała w swoich wspomnieniach żona Dzierżyńskiego — Zofia: *Dzierżyński, który posiadał dar niezmiernie szybkiej orientacji, obejrzał się dookoła. Ulica była zupełnie pusta, nie było ani jednego domu. A z tyłu za nimi parkan ze ściśniętymi przylegającymi jedna do drugiej desek był tak wysoki, że niemłody już Warski i niewysoki Sewer nie byłiby w stanie wdrapać się nań i przedostać na drugą stronę. Ukryć się zaś trzeba było niezłocznie, zanim kozacy ukażą się zza węgła. Feliks niewiele myśląc, podesadził Warskiego i potem Próchniaka na parkan i kiedy im po tamtej stronie już nie nie groziło, sam szybko wdrapał się na płot, zeskoczył i ukrył się szczęśliwie.*

Epizod w Puławach jest charakterystyczny dla Dzierżyńskiego, który zawsze dbał więcej o towarzyszy aniżeli o siebie.

Po tym wydarzeniu F. Dzierżyński zmuszony został do zaniechania przyjazdów do Puław. Władze carskie dokonały bowiem licznych aresztowań działaczy Komitetu Południowego i Wojskowo-Rewolucyjnej Organizacji, wielu żołnierzy i oficerów. Wzmogły także inwigilację za wszelką rewolucyjną działalnością w Puławach i najbliższej okolicy.

Przypomniany epizod puławski w życiu i działalności F. Dzierżyńskiego i jego związków z Lubelszczyzną stanowi jedną z pięknych kart w księdze rewolucyjnych i postępowych tradycji tego regionu.

Trzeba przejąć całą kulturę

Ireneusz J. Kamiński

WSPOMINA J. Siekierska: Po rewolucji miało się wrażenie, że ogromne masy ludzi niby lawina ruszyły na podbój wiedzy — chciwie i zachłannie, łaknące odpowiedzi na trudne i palące problemy życia i śmierci...

Tak, to była lawina, zjawisko bez precedensu w dziejach kultury, rozwijające się w przestrzeni ogromnej, której nikt dotąd nie kojarzył ze sztuką, z teatrem, z literaturą czy muzyką. Oto w latach 1919—1920 na największych placach Piotrogradu odgrywane były „spektakle rewolucyjne” z udziałem tysięcy ludzi. W inscenizacji pt. „Do światowej komuny” uczestniczyło 4000 osób, a w „Zdobyciu Zimnego” — 6000. W widowisku „Zwycięstwo międzynarodalisty” wystąpili niemal wszyscy marynarze Czerwonej Floty w Odessie.

Takie przedstawienia oglądały tysiące widzów: w żołnierskich mundurach, z karabinami w dłoniach, w kombinezonach robotniczych, a przedział między sceną i widownią był całkowicie umowny. W „Notatkach artystki” Wiera Jureniewa rekonstruuje to, co działo się podczas spektaklu „Owczego źródła” Lope de Vegi w przeddzień 1 maja 1919 roku w Kijowie, oglądanego przez robotników i żołnierzy.

Final sztuki. Wrogowie zabici. Laurencja rzucając miecz woła w triumfie: „Nie ma już tyranów!” Na scenie lud tańczy pełen radości (...) i oto jakby iskra przetrzcila się na widownię. Wszyscy wstają. Rozentuzjasmowana publiczność wznosi okrzyki. Cała sala wraz z aktorami śpiewa Międzynarodówkę.

Zwycięstwo rewolucji postawiło zarazem przed artystami, teoretykami i działaczami szereg nowych problemów, których rozstrzygnięcie miało wyznaczyć perspektywy rozwoju kultury radzieckiej. Jeden z nich wiązał się ze stosunkiem do tradycji: czy ją kontynuować wzbogacając o nowe treści, czy też zniszczyć Awangarda spod znaku futuryzmu czy konstrukttywizmu, a przede wszystkim twórcy związani z „Proletkultem”, organizacją powołaną do szerzenia oświaty i kultury wśród robotników, zdecydowanie odcinali się od tych wartości, które powstały w przeszłości. „Rozstrzeliwać Rastrellich” wołał Majakowski, nawiązując do nazwiska najwybitniejszego przedstawiciela późnego baroku w Rosji, autora wielu pałaców w Petersburgu. Głoszący takie hasła poeta nie spełniał przecież wymagań ideowych proletkultowców, którzy Majakowskiemu (i innym futurystom, nie mówiąc

już o symbolistach) zarzucali myślenie burżuazyjne. Kazimierz Malewicz, twórca suprematyzmu w sztuce, autor słynnego obrazu przedstawiającego czarny kwadrat na białym tle, twierdził, że zburzenie moskiewskiej cerkwi Wasyla Błażennego na Placu Czerwonym nie wywołałoby w nim takiego przygnębienia, jak zniszczenie zwyczajnej trupy.

Przypominając te skrajne opinie, charakteryzujące burzę artystyczną owego czasu, należy zawsze pamiętać, że ich autorzy bez reszty indentyfikowali się z rewolucją, głosząc m.in. postulat pełnej integracji sztuki z życiem codziennym ludzi. *Postulatem sztuki jest towarzyszyć człowiekowi wszędzie, gdzie trwa jego nieustraszona działalność. Przy obrabianiu i przy stole, podczas pracy i odpoczynku, w chwilach wesoleści, w dzień powszedni i w festiwalu, w domu i w drodze, aby nie wypaść w człowieku płomień życia — stwierdził Antoine Desnos w 1920 roku.*

Stanowisko Lenina wobec tradycji kulturowej było jednoznaczne: Trzeba przejąć całą kulturę, którą pozostawił kapitalizm i z niej zbudować socjalizm. Trzeba przejąć całą naukę, technikę, całą wiedzę, sztukę. Bez tego nie możemy zbudować społeczeństwa komunistycznego. Te idee bezostannio realizował Anatol Lunaczarski, Ludowy Komisarz Oświaty. *Sprawić — pisał na łamach „Izwiesti” w 1922 roku — aby artystyczna autobiografia ludzkości stała się dostępną w możliwie jak największej ilości egzemplarzy człowiekowi pracy i doprowadzić do tego, aby człowiek pracy wrócił do tej autobiografii swą własną piekna złotą stroną — oto cel Ludowego Komisarzatu Oświaty w dziedzinie wychowania artystycznego.* Ten program jest ciągle aktualny w Związku Radzieckim.

Jedenaście lat temu po raz pierwszy szukałem w Leningradzie i Moskwie materialnych śladów dawnych dyskusji, które wyzwoliły historyczny przewrót społeczny. Mówiąc ściślej, szukałem wartości stworzonych przez czołowych artystów lat dwudziestych i początku następczej dekady. Odnalazłem budowlę projektowaną przez braci Wiesninych, A. Nikolskiego, E. Tarlie i innych.

I oto znów jestem w Muzeum Rosyjskim, które obchodził w tym roku 80-lecie istnienia. Larysa Nowożyłowa, dyrektor instytucji, informuje, że rocznie przez sale muzealne przewija się około 1 300 000 osób, a liczba zwiedzających wzrasta, więc trzeba będzie rozbudować obiekt. Szczupłość pomieszczeń ekspozycyjnych powoduje ponadto, że zaledwie jedna czwarta zbiorów udostępniana jest publiczności. I tak na przykład z 400 posiadanych ikon muzeum pokazuje tylko 100. Tymczasem instytucja ciągle kupuje nowe dzieła, dysponując właścicielami nieograniczonymi środkami finansowymi.

Okazuje się, że w Moskwie i Leningradzie istnieje dużo prywatnych kolekcji malarstwa i grafiki dawnej i ich właściciele chętnie je sprzedają muzeum, które cieszy się bardzo dobrą opinią w społeczeństwie, co znajduje jeszcze lepsze potwierdzenie

STYPENDIA

Jerzy Dostatni

SZPERAJĄC dość często w przedwojennych wydawnictwach jestem przyzwyczajony do różnych niespodzianek. Tym razem jednak przecierałem kilkakrotnie oczy, nie chcąc wierzyć temu, co wydrukowano w ostatnim wydaniu przed wojną Małym Roczniku Statystycznym na stronie 336. A jednak to prawda. Podania o stypendia z istniejącego wówczas Funduszu Państwowych Stypendiów Akademickich złożyło w Lublinie 83 studentów, otrzymało je zaś tylko 29 — co stanowiło niecałe 0,3 procenta ogółu studiujących w naszym mieście. Prawda, że większość studentów, nie tylko w Lublinie stanowili synowie i córki burżuazji, którym stypendia nie były potrzebne. Nie brakowało jednak dzieci z rodzin niższych urzędników, rzemieślników, czasem nawet chłopów, niezmiernie rzadko robotników. Dla nich pierwsza bariera była sprawa czesnego — opłaty za studia, czegoś, co w Polsce Ludowej nigdy nie istniało. A czesne było wysokie — równowartość prawie 20 kwintali żyta rocznie, a więc dokładnie tyle, ile wynosiły wówczas całkowite plony z 2 hektarów. Albo trzymiesięczny zarobek przeciętnie kwalifikowanego robotnika. Ta bariera wiec z góry kształtowała społeczny profil studiujących.

Druga bariera — tak bariera, nie pomoc — były stypendia Państwowe, stypendium wynosiło formalnie 120 złotych miesięcznie. I prawdę powiedziawszy wystarczyłoby ono na skromne utrzymanie studenta, gdyby nie to, że wysokość ta w rzeczywistości okazywała się fikcją. W roku akademickim 1937/38 podania o stypendia państwowe złożyło w całym kraju 5352 studentów, a otrzymało je tylko 2312. Ale to nie wszystko. Pełne stypendia, owe 120 zł miesięcznie, przyznano zaledwie 115 studiującym, natomiast 1508 otrzymywało pół stypen-

dium, zaś 689 tylko ćwierć, czyli 30 złotych miesięcznie. Gdyby student chciał z tego stypendium zapłacić chociażby czesne, musiałby przez osiem miesięcy nie jeść, nie pić, nie niszczyć ubrania i butów oraz mieszkać pod chmurką.

Aby oddać sprawiedliwość prawdzie muszę przecież wspomnieć, czego już „Mały rocznik” nie podaje, że kilka lat przed wojną w domu akademickim przy placu Narutowicza w Warszawie otwarto jedyną w Polsce tzw. bursę dla 50 studentów Poszczególnie powiaty, a było ich 264, oraz 53 miasta wydzielone opłacały za swojego studenta czesne, książki, miejsce w domu akademickim, a na dodatek przyznawano 15 złotych miesięcznie gotówką na tzw. drobne wydatki. Pomijając fakt, że na taki gest zdobył się zaledwie co szósty powiat (miało wydzielone), owa bursa też opasywała wysoka bariera. Stypendyści bowiem wyznaczał starosta, zrozumiałe więc, że ta bariera, o charakterze czysto klasowym i politycznym, była ustawiona bardzo wysoko.

Dzisiaj wyższe uczelnie, podobnie zresztą jak przed wojną mają swoje budżety. Budżet, jak wiadomo, ściśle określa, ile na dany cel można wydać w ciągu roku. Tylko jedna pozycja budżetu wyższych uczelni w praktyce nie ma żadnych ograniczeń: sumy przeznaczone na stypendia. To właśnie świadczy o wysocie społecznym podejściu władz państwowych do wyższych studiów. Nie z-

góry określona suma, ale rzeczywiste potrzeby, stwierdzone przez poszczególne uczelnie przy współpracy z organizacjami młodzieżowymi, określają, ile złotych przejdzie ze skarbu państwa do prywatnych kieszeni studentów, umożliwiając im w ten sposób ukończenie nauki w zupełnie przyzwolonych warunkach.

2 września br. Prezydium Rządu podjęło decyzję o kolejnym polepszeniu warunków materialnych studentów. Szczegóły podawała prasa codzienna. Tu chciałbym zwrócić uwagę na pewne momenty, których w oficjalnym komunikacie nawet nie można było podkreślić, a które na zupełnie innej niż dotąd płaszczyźnie stawiają życiowy status studenta, nawet wykraczają daleko poza mury uczelni.

Sprawa rodzin studentek, a także samotnych studentek z dziećmi, przez wiele lat była zupełnie niedostrzegana, a potem traktowana w sposób, który trudno nazwać humanitarnym. W odczuciu wielu ludzi studenci stacjonarni w ogóle nie powinni się żenić, a studentki nie powinny mieć dzieci. Nie chcę podejmować dyskusyjnie tego tematu, uważam natomiast, że najgorszym wyjściem był pomstowanie i zamykanie oczu na to, co dzieje się w rzeczywistości. Ta rzeczywistość jest zasadniczo inna niż dawniej, nie tu nie pomoże wspomnianie dawnych, a rzekomo dobrych czasów.

Otóż jeżeli chodzi o zasiłki rodzinne i na urodzenie dziecka rodziny studenckie zostały całkiem zrównane z wszy-

stkimi innymi rodzinami. Więcej — studentki samotnie wychowujące dzieci mogą otrzymać stypendia o 25 proc. wyższe od normalnych, a także specjalne zasiłki na najbardziej niezbędne potrzeby dziecka.

Rozwiązano też inaczej niż dotąd problem stypendiów fundowanych. Ta forma pomocy z różnych powodów nie cieszyła się dotąd specjalną popularnością — w skali krajowej korzystał z niej zaledwie co czterdziesty student. A jeszcze rządziej zdarzało się, aby potem pracownik w zakładzie pracy, który mu to stypendium wypłacał, Niechęć studentów do stypendiów fundowanych wynikała z obowiązku podjęcia pracy w określonym miejscu, często na trwale określonej prowincji, a ponieważ wysokość stypendium fundowanego była identyczna z normalnym, w praktyce nie istniała żadna zachęta do podjęcia pracy w owym terenie. Obecnie stypendia fundowane są o 200 zł miesięcznie wyższe, a i bliższa rozwiązania stała się sprawa mieszkania. Dotychczas fundator nie mógł dać mieszkania stypendyście, rezygnował dobrowolnie z jego pracy mimo że na jego kształcenie wydał kilkadziesiąt tysięcy. Od dwóch lat wszystkim lub prawie wszystkim zakładom pracy mają swoją pulę w przydzielonych mieszkaniowych, a nawet jeżeli jej nie mają, wewłoda swoją decyzją może ją przyznać w każdej chwili. Można się spodziewać, że liczba stypendiów fundowanych znacznie wreszcie wzrastać zamiast spadać, zwłaszcza że przestała

nie w licznych faktach darowizn, dokonywanych przez osoby swarsze. W tym roku uzyskano tą drogą 300 prac malarza związanego niegdyś z awangardą radziecką, Pawła Nikolajewicza Filonowa (1883—1941), wykazującego w swej twórczości pokrewieństwo z kubizmem. Dużo dzieł kupuje się ponadto od artystów współczesnych — albo za pośrednictwem Ministerstwa Kultury, albo „na piąto”, od razu w pracowni malarzy, rzeźbiarzy czy grafików. Dowiaduję się, że płótna czołowych artystów radzieckich osiągają ceny od 6000 do 12000 rubli, a mimo to muzea konkurują z sobą w pozyskiwaniu tych prac. Zresztą, jak wspominałem, finanse nie stanowią problemu dla muzeum. Dodajmy w tym miejscu, że współczesna sztuka Kraju Rad zyskuje coraz większe wzięcie także w państwach kapitalistycznych: oto Japończycy urządzają stałą galerię tej twórczości.

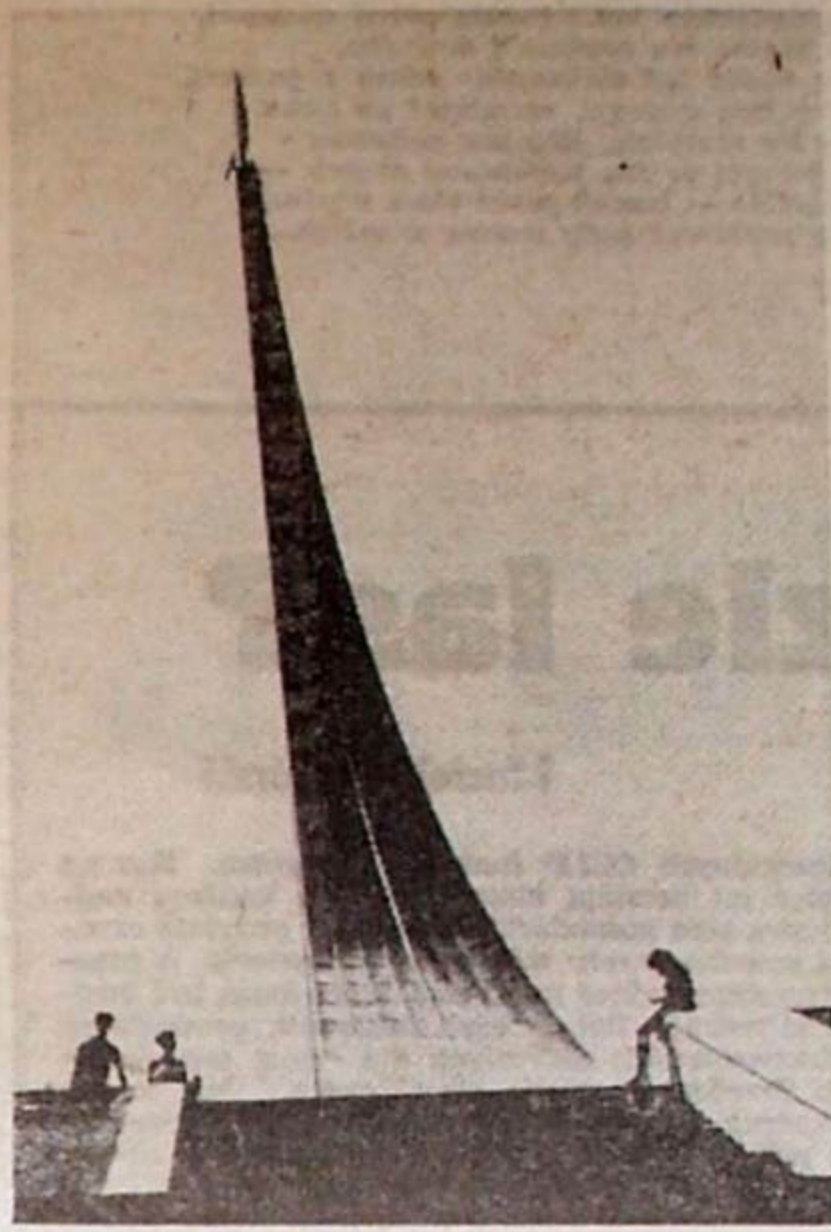
W trakcie rozmowy z L. Nowożyłową stwierdzam, że dorobek awangardy radzieckiej jest konsekwentnie i programowo wprowadzany w społeczny obieg kulturowy. W swoich zbiorach Muzeum Rosyjskie posiada poza tym 15 płócien W. Kandinskiego, kilka prac Gabo i innych czołowych przedstawicieli awangardy.

Nie koniec na tym: w stałej ekspozycji znajduje się jeden wczesny obraz Malewicza, bodaj z 1910 roku, jeden Rodczenki i duże, reprezentatywne płótno Kandinskiego. Ich prace eksponowane są również na wystawach czasowych, ostatnia prezentowała „Okładki książkowe rosyjskich artystów początku XX wieku”, m.in. Gonczarowej, Larionowa, Majakowskiego, Malewicza, Jermolajewa i wielu innych — o czym informuje katalog, który na pożegnanie otrzymałem od L. Nowożyłowej. Istotne przy tym, że te drobne druki dają dość dobre pojęcie o charakterze twórczości uprawianej przez wymienionych i nie wymienionych artystów w latach dwudziestych i na początku trzydziestych. Nie pierwszy raz okazuje się — pozwolę sobie na ogólniejszy komentarz — że atrakcyjność i siła kultury socjalistycznej polegają na zdolności asymilacji faktycznych wartości artystycznych. Czasami jest to proces długotrwały, jednak zmierzający do celu, jakim jest duchowe wzbogacenie człowieka, umożliwienie mu kontaktu z różnymi zjawiskami kultury.

Nawiązywanie do tradycji lat dwudziestych jest szczególnie wyraźne w teatrze radzieckim. Na ten temat toczyliśmy długą dyskusję z Iriną Lucjanową Wiszniewską, krytykiem teatralnym, wykładowcą Instytutu Literatury im. Gorkiego, autorką programu telewizyjnego pn. „Teatralne afisze” i kandydatem nauk w ministerialnym Instytucie Historii Sztuki w Moskwie. Jej osiemdziesięcioletni ojciec pochodzi z Polski, przez długi okres współpracował z Leninem, wstępując do partii bolszewickiej w 1919

roku. Profesjonalnie zajmuje się historią jezuitów w Europie.

Zdaniem I. L. Wiszniewskiej żywe zainteresowanie tradycją tamtych lat datuje się od około 1960 roku, manifestując się na dwóch płaszczyznach:



Moskwa: pomnik kosmonautów

Fot. A. Polakowski

naukowej i praktycznej. Ukazują się monografie wybitnych reżyserów, np. Meyerholda czy Tairowa, w sześciotomowej historii teatru radzieckiego dwa pierwsze tomy poświęcono latom dwudziestym.

Zresztą już znacznie wcześniej Mikołaj Ochłopkow, znany reżyser i aktor, podnosił problem tradycji, odwołując się do wielkich widowisk piensrowych lat bezpośrednio rewolucyjnych. Eurypidesa wystawił w sali Ilharmonii, „Borysa Godunowa” chciał pokazać na Placu Czerwonym w Moskwie.

Do łamtego okresu nawiązuje obecnie przede wszystkim teatr na Tagance „Mistrz i Małgorzata” według Bułhakowa, „Antykwariat” Woznesenskiego, ale także inne sceny. Przejawia się to popularnością formuły publicystycznej, przy pomocy której podnosi się ważne problemy społeczne rzeczywiście radzieckie, problemy nierzadko trudne, wymagające publicznej ekspozycji, zbiorowej uwagi takie, jakie znamy w Polsce np. z „Premii” filmowej A. Gelmana. Co najciekawsze, nie jest to domena ludzi młodych, skomplikowane problemy moralne i społeczne wprowadzają na scenę reżyserzy różnych pokoleń.

Oprócz teatru publicystycznego wielkim zainteresowaniem cieszy się nadal klasyka, a.e. „odczytana na nowo”. Tak na przykład Anatol Efros, łączący w swej twórczości koncepcje Stanisławskiego i Meyerholda, zinterpretował „Ozenek” Gogola jako tragedię o małych ludziach, o niemożności przekroczenia przez nich własnego wymiaru moralnego i intelektualnego. Na to przedstawienie ustawiały się długie kolejki moskwičan. Podobnym powodzeniem cieszył się „Otello” Szekspira w inscenizacji Efrosa, który bohaterowi dramatu odmówił jakichkolwiek racji jego czynu. Nikt z ludzi nie ma prawa do wymierzania kary śmierci — tak mniej więcej brzmiało przesłanie spektaklu.

Bodaj największym wydarzeniem minionego sezonu okazała się przecież „Historia konia” według jednej z nowel L. Tolstoj, przeniesionej na scenę przez Mark Razowskiego, który wyszedł z teatru studenckiego (będącego zjawiskiem chyba innym i skromniejszym niż u nas). 28-letni reżyser wprowadził na deski leningradzkiego Teatru im. Gorkiego aktorów występujących w rolach... koni: w ustach trzymają uzdy, w dłoniach ogony. Młode konie otaczają starego, który śpiewa songi z powtarzającym się wyznaniem „jak trudno być koniem”, wspominając swoją młodość, konkretyzując się na scenie. Tematem zaś głównego monologu bohatera jest słowo „mój” (dom, żona). Na to przedstawienie ludzie walili tysiącami, nawet pracownicy naukowcy Instytutu Historii Sztuki musieli walczyć o bilety.

I jeszcze jedna interesująca sprawa: według I. L. Wiszniewskiej, kiedyś Moskwa lansowała modę teatralną w ZSRR, obecnie lansują ją teatry i dramaturdzy poszczególnych republik: m.in. Białorusi, Łotwy, Mołdawii. W tej ostatniej wyróżnia się Ikon Druce i jego „Święta świętych”.

Treścią tej sztuki jest emocjonalna śmierć człowieka, który robiąc karierę coraz bardziej traci kontakt z drobnymi, lecz ważnymi sprawami codziennego życia, z ziemią. A kiedy umiera jego biedny, żyjący na wsi przyjaciel, ten, który przetrwał rzekomo chłopca, zostaje samotny na świecie.

obowiązywać zasadą obliczania wysokości zarobków na członka rodziny.

Premie za wyniki nauczania będą dotąd wypłacane co semester, a nie, jak dotychczas, co miesiąc. Prawdę powiedziawszy władze uczelni przez cały semester, do czasu sesji egzaminacyjnej, wypłacały te stypendia jakby awansem, opierając się na wynikach poprzedniego semestru, bo przecież nie było bieżącego miernika. Teraz premia będzie wypłacana dopiero w chwili, gdy już będzie wiadomo, z jakim wynikiem student ukończył dany semester, będzie to więc rzeczywiście premia, a nie jakby zasiłek. Dodajmy, że poprzeczka wymagań została tu podniesiona — przeciętna stopni musi wynosić co najmniej 3,8, a nie 3,6.

Zwróćmy uwagę, że przed wojną w wyższych uczelniach państwowych stypendia (w przeliczeniu na pełne) otrzymywało zaledwie 3 (słownie: trzy) procent studentów. Przed czterema laty wskaźnik ten wynosił 49 proc., ale w ostatnim czasie spadł do około 39 proc. Stało się tak dlatego, że granica zarobku na członka rodziny wciąż utrzymywała się na poziomie 1400 złotych miesięcznie, podczas gdy faktycznie zarobki we wszystkich dziedzinach naszego życia szybko wzrastały. Obecnie granicę ozych zarobków podniesiono do 1800 złotych, a więc prawie o 30 procent, co ogólnie odpowiada wzrostowi stopy życiowej społeczeństwa.

Wskaźnik stypendystów „zwykłych” na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej był zawsze wyższy od przeciętnej krajowej i sięgał prawie 60 proc. ogółu studiujących. Ostatnio także spadł do około 50 proc., ale w nowym systemie wróci niewątpliwie do poprzedniej normy. Ten wyższy wskaźnik na UMCS tłumaczy się tym, że przeciętne zarobki mieszkańców Lubelszczyzny były i jeszcze jakiś czas będą niższe, niż np. w Warszawie, Katowicach czy w Gdańsku.

Ale równocześnie potwierdza on sformułowaną już wyżej zasadę, że nie budżet, ale realne potrzeby kształtują wysokość sum stypendialnych.

Doceniając w pełni zalety nowej decyzji Prezydium Rządu, można się jednak spodziewać, że w praktyce wyłoni się szereg wątpliwości, które nie bez zmarnotwień będą musiały rozwiązywać władze uczelni i organizacji studenckiej. Zaden akt prawny nie jest bowiem w stanie przewidzieć wszystkich możliwości, jakie niesie życie.

Jednym z problemów do rozwiązania jest sprawa kierunków deficytowych. Tak np. po wiosenno-letniej rekrutacji na UMCS okazało się, że na fizykę nauczycielską i bibliotekoznawstwo wypadła pół kandydata na wolne miejsce, a na fizykę nie nauczycielską i nauczanie początkowe jeden kandydat na jedno miejsce. Praktycznie więc na te studia dostał się każdy, kto miał chociażby same trójki. Natomiast niezrozumiałym zupełnie powodzeniem „cieszyła się” pedagogika w zakresie pracy k-o — dzieściu kandydatów na jedno miejsce, następnie psychologia — siedmiu i pół, a także prawo — siedmiu chętnych na jedno miejsce. Tu często nie wystarczały nie tylko czwórki z egzaminu wstępnego, ale nawet 4,5.

W tej sytuacji myślę, czy nie warto jakoś preferować stypendiami, państwowymi lub fundowanymi, właśnie o-wych deficytowych kierunków, do których można jeszcze zaliczyć chemię, filozofię, matematykę oraz organizację i zarządzanie. Jak to zrobić, niech się martwią specjaliści, ale wiadomo przecież, że bodźce materialne stymulują zachowanie się wielu ludzi, w tym także kandydatów na wyższe uczelnie.

Z początkiem i końcem każdego roku akademickiego przedmiotem wielu dyskusji staje się sprawa prymusów szkół średnich, przyjmowanych na wyższe uczelnie bez egzaminu. Rzeczywiście dzie-

ją się tu czasem bardzo dziwne rzeczy. Tak np. w roku bieżącym na filologię angielską na UMCS trzeba było przyjąć prymusów z technikum odzieżowego. Kiedy jej rodzice i doradcy popełnili podstawowy błąd: gdy kierowali ową dziewczynę do technikum odzieżowego, czy też gdy zobaczyli w niej przyszłą anglistkę? Nie jest to przykład odosobniony ani na UMCS, ani na innych uczelniach. Wydaje się, a popiera to gorąco kadra naukowa wyższych uczelni, iż uniwersalne dotąd przyjmowanie prymusów bez egzaminów wstępnych należy uzależnić, naturalnie z pewnym marginesem, od profilu szkoły średniej.

Mam przed sobą dane dotyczące wyników prymusów na UMCS po pierwszym roku studiów (rok 1976/77). Nie napawają one optymizmem, wręcz przeciwnie. Na biologii z 12 prymusów jeden zrezygnował ze studiów, ponieważ w ogóle nie dawał sobie rady, a 7 zdało końcowe egzaminy bardzo słabo; na chemii z 9 prymusów: 1 skreślony, 3 przeforsowały egzaminy na wrzesień (to ma swoją wymowę), 2 zdało bardzo słabo; na matematyce z 18 (!) prymusów: 3 osoby zrezygnowały ze studiów, 11 zdało we wrześniu; na filologii angielskiej z 7 prymusów 3 złożyło podania o urlop dziekański, nie mogąc sobie dać rady z nauką. Na wielu innych kierunkach jest podobnie, tylko np. na historii czy filologii polskiej jest lepiej, chociaż wcale nie doskonale.

Nasuwa się pytanie, czy nauczycielom szkół średnich, stawiających noty prymusom, nie zadrżała ręka w czasie ich premiowania. Czy byli istotnie przekonani o wysokim poziomie wiedzy swoich pupilków? A może im samym, tym nauczycielom, brakowało odpowiednich kwalifikacji do sprawiedliwej oceny? Myślę, że tymi sprawami powinny się zainteresować bliżej kuratoria; wnioski będą chyba bardziej sprawiedliwe niż te, które wyciąga się z pokazowych lekcji na bardzo wąziutkim temat.

Mogło by się wydawać, że prymusi, jeżeli tylko warunki materialne ich rodzin odpowiadają określonym kryteriom, powinni być muiowanymi kandydatami do stypendiów. Niestety wyniki nauczania na wyższej uczelni tego nie potwierdzają.

Kilku naukowców, z którymi na te tematy rozmawiałem, jako generalny zarzut pod adresem szkół średnich, ale także podstawowych, gdzie cała edukacja się zaczyna, wysuwają to, że obie szkoły nie uczą myślenia, samodzielnej pracy, wydawania własnej opinii opartej nie na wyuczonych wzorach i formułkach, ale na rzeczywistej posiadanej wiedzy. W szkołach średnich, mówił jeden z nich, lekcje matematyki to są wciąż lekcje rachunków, a fizyka i chemia to wykowane na pamięć liczne wzory, o których szybko się zapomina.

Przed kilku dniami oglądałem nowy podręcznik matematyki, który obowiązuje już w drugich klasach niektórych szkół podstawowych, a będzie obowiązywał we wszystkich szkołach dziesięcioletnich. Ze wstydem muszę przyznać, że chyba o połowie użytych tam określeń nigdy w życiu nie słyszałem, zaś osmioletni skrab orientował się w tym wszystkim doskonale. Dopomagała mu w tym rzeczywiście atrakcyjna grafika, tłumacząca owe niezbrane mi określenia w sposób niezwykle łatwy do przyswojenia. Wprawdzie tabliczkę mnożenia umiałem lepiej od owego skrabka, ale czy rzeczywiście trzeba wiedzieć na pamięć, ile jest siedem razy osiem, a ile osiem razy siedem? Jeżeli takie podręczniki i metody nauczania będą obowiązywały we wszystkich przedmiotach, jestem przekonany, że za osiem lat poziom zdających na wyższe uczelnie będzie znacznie wyższy.

Piatruś Brouka

O SZAREJ GODZINIE

Neż drożyn się przebyło,
Lecz ostatnia droga życia,
Która kończy się mogiłą,
Najtrudniejsza do przebycia.

Jakie byłoby to szczęście
Gdyby przejść bez bólu po niej,
Tak jak życie niemowlęciem
Zaczytałem nieświadomie.

Aleh Lojka

...Człowiekiem był i bocian przed wiekami,
Nie brakło mu rozumu i dowcipu,
Lecz nadto był ciekawski: miech z gadami,
Który Bóg dźwiżał, rozwiązał po cichu.
Gdy się rozpęzły, Bóg mu nakazuje
Do śmierci za ten pokutować grzech —
I dziadzio — bocięk przez błota wędruje.
Zeby pozierać gady znowu w miech...

Jaki będzie las?

Maciej Podgórski

Od paru inżynierów leśników usłyszałem, że robotnik pracujący w lesie przy ścinaniu drzew pilarką spalinową traci — dokładnie ponoć obliczono — tyle samo kalorii co dołownik w kopalni. Od paru pilarzy, pracujących na zrębie zupełnym, dowiedziałem się, co oni tam robią:

— Ściąć, okrzesać z gałęzi, czasem odkorować, przetrząć na walki, nieraz i na szczapy, ułożyć w stopy. Trzeba się serdecznie narobić. Jak PKS doprowadzą do naszej wsi, zegnaj lesie, bodaj za stróża zatrudnić się w fabryce!

Pilarze są najlepiej — stosunkowo — zarabiającą grupą robotników leśnych. Bywa — do pięciu tysięcy miesięcznie, według informacji Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Lublinie. Ostatnio coraz szerzej wprowadza się nowe pilarki, produkowane w Polsce na licencji szwedzkiej firmy „Husqvarna”, w miejsce dotychczasowych, cięższych i powodujących niekiedy chorobę wibracyjną.

Nie da się jednak ukryć, że praca fizyczna w lesie, choć niby na świeżym powietrzu, bardzo straciła na atrakcyjność dla mężczyzn z okolicznych wiosek. Nadleśniczy Kazimierz Szarek z nadleśnictwa w Rzeczyce powiada, że jak 10 lat temu miał jeszcze 48 robotników, tak teraz ma trzynastu. Stalowa Wola „ciągnie”, 6 kilometrów stąd.

Ale Stalowa Wola również „daje” pracom leśnym. Mechanizacja, która — według ludzi kompetentnych — jest najpilniejszą koniecznością naszej gospodarki leśnej, aczkolwiek nie tania w stosunku do robocizny ręcznej.

Na terenie Lasów Doświadczalnych w Janowie Lubelskim, obecnie województwo tarnobrzeskie, placówki Instytutu Badawczego Leśnictwa w Warszawie, pokazano mi maszynę ścinającą-układającą, która, obsługiwana przez jednego człowieka, zastępuje pracę brygady pilarzy w najcięższych czynnościach.

Jest to hydrauliczna głowica z nożycami, zamontowana do ładowarki L-34, pomysł zrodzony w warszawskiej SGGW, rozpracowany właśnie w Stalowej Woli, gdzie już w tym roku wyprodukowano kilka takich urządzeń, a jedno z nich niebawem rozpocznie pracę w lubelskim OZLP. I sytuacja, kiedy fabryka, przyciągając lepszymi warunkami silną robocizną z leśnictwa, wytwarza dla tegoż leśnictwa potężne urządzenia, wyrównujące niedobór robocizny, wydaje mi się symboliczną i obiecującą.

Maszyna ta jednak może działać tylko na zrębach otwartych, zarazem dosyć płaskich i niebagiennych, waży bowiem 22 tony. Podobnie ma się sprawa z zakupionymi przez Polskę w Kanadzie i pracującymi w naszych lasach ciągnikami zrywkowymi „Tree-farmer”, czy w ogóle ciężkimi ciągnikami zrywkowymi. Służą one do zebrania porozrzucanych na zrębie kłód i dłużyc, uformowania ich w stopy przy szlaku, skąd potężne, dwuczłonowe ciężarówki „Jelcz-Steyer” powiozą ten ładunek dalej. Wchodzi też do eksploatacji ładowarka „Ford”, przekazująca drewno ze składnicy na wagony.

Perspektywy mechanizacji na zrębach zupełnych, łatwiej dostępnych, o większych powierzchniach, gdzie stosunkowo niedużym nakładem szybko można uzyskać efekty wielkoprodukcyjne, wydały się obiecujące. Powstaje jednak pytanie, czy to już wszystko?

Elżbieta Elżakowska, dyrektor OZLP w Lublinie, powiada, że trzy czynniki decydują o gospodarce leśnej: procent leśistości kraju, średnia masa drewna na hektarze, przeciętny przyrost drewna. I optymizmem napawa fakt, iż te trzy wskaźniki w PRL rosną. Bo więcej zalesiamy, niż wycinałyśmy. Bo rozmiar cięć jest niższy od przyrostu.

Terenowe oddziały i wydziały warszawskiego Biura Urządzania Lasu i Geodezji Leśnej pełnią wobec

poszczególnych OZLP funkcje usługowe. Raz na dziesięć lat ustalają mianowicie dla każdego nadleśnictwa stan gospodarki leśnej oraz program czynności gospodarczych: zalesiania, odnawiania. A przede wszystkim zakres (etat) cięć, które mogą być dwójakiego rodzaju. Rębne, czyli całkowite, prowadzone na drzewostanach dojrzałych dla celów produkcyjnych. Przedrębne, czyli niecałkowite, tak zwane czyszczenia i trzebieże, prowadzone na drzewostanach młodych, gdzie częściowemu pozyskowi drewna produkcyjnego towarzyszy cel pielęgnacyjny (wycina się drzewa schnące, zaatakowane przez szkodniki etc.).

Zakres cięć obliczony zostaje według ścisłej instrukcji, zatwierdzonej przez dwie komisje techniczno-ekonomiczne z udziałem przedstawicieli BUL i OZLP. Jerzy Nieśpiałowski, kierownik wydziału BUL w Lublinie, poinformował mnie, że koszt opracowania programu gospodarczego dla średniej wielkości nadleśnictwa wynosi ponad 2 miliony złotych. W skali kraju więc pochłaniają te prace sumy niebagatelne.

Tymczasem nie jest dla nikogo tajemnicą, że BUL nie posiada uprawnień nadzoru autorskiego, zaś plany gospodarcze egzekwowane przez resort, któremu przysługują BUL jak i OZLP podlegają, najczęściej prowadzą do przekroczenia ustalonego zakresu cięć na drzewostanach dojrzałych (powiedzmy 80—100-letnich) przy niedostatkach działań pielęgnacyjnych. I leśnicy tną tam, gdzie najłatwiej i najszybciej można pozyskać drewno. A prasa pisze: „Chrońmy lasy przed leśnikami!”

Nie będąc akurat ekonomistą, mógłbym przypuszczać, że wszystko to ma jakiś głębszy sens gospodarczy. Ale wiem, co mówią leśnicy w terenie. Możemy więcej zalesiać, niż wycinamy. Rozmiar cięć może być niższy od przyrostu. Lecz jeśli stale rozmiar będzie przewyższał ustalony zakres cięć, jeśli się będzie doraźnie zaniżał wiek rębności, wówczas otrzymamy drzewostan coraz młodszy, aż do — w perspektywie odległych pokoleń — drzewostanu w osóle nie-rębnego. Skądinąd wiem, że lubelski OZLP rąbie 9 procent ponad zakres.

Oczywiście, nie mogłem nie zapytać, jakie widać wyjście z tej sytuacji, skoro nasz przemysł drzewny potrzebuje coraz więcej surowca, choćby w związku ze znacznym rozwojem budownictwa mieszkaniowego, produkcji mebli.

Są rezerwy — odpowiedziano mi. Weźmy takie choćby zrębki, czyli gałęzie zostające na zrębach. Nie brak leśnikom urządzeń do rozdrabniania tych gałęzi na wióry, świetnie nadające się do produkcji płyt wiórowych właśnie. Lecz technologia producentów płyt wiórowych nie dopuszcza zrębków z igliwem, a trudno, by leśnicy zajmowali się obrywaniem igieł sosnowych z każdej gałązki.

Przykład może drobny, ale świadczy, że integracja leśnictwa i przemysłu drzewnego nie zeszła zbyt daleko ze szczybla Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego.

Lecz najważniejsza sprawa to pozysk drewna z cięć pielęgnacyjnych, głównie trzebieży. Abstrahując już od faktu, że niewykonywanie planu cięć pielęgnacyjnych znacznie pogarsza zdrowotność drzewostanu i rzutuje na przyszłość gospodarki leśnej, każdy leśnik powie, iż w tego rodzaju cięciach tkwią znaczne rezerwy.

Niestety, są to czynności znacznie bardziej pracochłonne niż zręby zupełne. Wpierw bowiem do drzewostanu musi wejść leśniczy, niby ten „uczony człowiek”, i oznakować każde drzewko przeznaczone do wycięcia, a za nim dopiero „fizyczny” z piłą lub siekierką. Ustabilizowanie załogi poprzez bardziej elastyczną politykę stawek, a następnie przeszkolenie, mogłyby tę pracę uczynić jednoosobową. Zresztą i tak pilarze, wypierani przez maszyny ścinająco-układające, garną się do tego rodzaju prac, które zważają PCL (po całym lesie).

Następna rzecz to transport ściętych w trzebieży drzew, które znajdują się w głębi lasu. Wpierw

Stucham podania, utwierdzić się staram,
Choć gniazd bocianich ilość nieprzebrana,
Czasem po dwa na chacie —

oto miara

W poleskich wsiach miłości do bociana!

Więc czemu tak je ciężko ukarano?
Zła pewnie bardzo tu nienawidzono,
Ze ulubieńcom też nie darowano,
Skoro rozpęzły się po świecie ono
Za ich przyczyną?...

musi się je przyciągnąć do szlaku. I tutaj, niestety, mechanizacja wygląda bardzo mizernie, brakuje po prostu wciągarek linowych, zostają do dyspozycji konwencjonalne konie, niemechaniczne.

Jedną z takich wciągarek widziałem na próbach w lasach doświadczalnych. Wyprodukowali ją Finowie, nazywa się „Farmi”. Pracowała w połączeniu ze zwykłym „Ursusem”. Urządzenie sterowane radiem (tak!), mogące ściągnąć drzewo z „głębokości” nawet 60 metrów. Tylko liny fińskie rwą się, może polskie lepsze?

Janusz Basiak, dyrektor Lasów Doświadczalnych w Janowie Lubelskim, powiedział mi, iż w cięciach pielęgnacyjnych posiadamy załogi rzedu kilku milionów metrów sześciennych. Drewno uzyskane z trzebieży może służyć do produkcji płyt wiórowych, papieru.... Sprawa nie jest więc blaha.



Maszyna ścinająco — układająca „Stalowa Wola”



Ładowarka „Ford”

Fot. L. Kącki

W polskim przemyśle leśnym i drzewnym nie ma zastój, szczególnie w ostatnich latach. Obecnie mówi się coraz głośniejszym głosem o przystosowaniu struktury OZLP do nowego podziału administracyjnego kraju. OZLP w Lublinie działa na przykład w dziewięciu województwach, w większości jednak tylko na wyodrębnionych polacjach tych województw. Lasy doświadczalne natomiast obejmują obok tarnobrzeskiego część lubelskiego i zamojskiego. To się zmienia.

Placówkę doświadczalną w Janowie Podlaskim powołano z początkiem 1974 roku. Tutaj właśnie ma się budować nowoczesność naszego przemysłu leśnego. Już w tej chwili jednak wolno powiedzieć, że przejściowa zwyczajka kosztów, wynikająca z kompleksowej mechanizacji prac leśnych, w przyszłości opłaci się sowicie. Istnieje ograń porzekadło: „Nie było nas, był las. Nie będzie nas, będzie las”. Chodziłoby jednak o to, jaki ten las będzie?

ISTNIEJE kilka języków polskich: dyrektorski, magazynierski, konferencyjny, sportowy. Te otrzymują należną odprawę ze stanowiska czystości mowy. Ale skoro takie dżwolagi jak „zadaszenie”, „podpiwniczenie”, „zausterkowanie”, „złomowanie”, „Lechita” (od klubu „Lechia”), „kombinator” (kombinacja alpejska), „klasyk” (zapasy w stylu klasycznym), „bramkostrzelny” itp. dyskwalifikują się same, to język polski „inteligentny” stoi się w piórka wyższej kultury słowa, których go trudno pozabawić. Oto zadanie dla socjologa: wyjaśnić skąd w obywatelu PRL rośnie pan Jourdain.

Język polski „inteligentny” najlepiej prosperuje w wywiadzie telewizyjnym. Z dwóch powodów. Po pierwsze — jest to język mówiony, a radio, mając do dyspozycji tylko głos, wykazuje większą o niego dbałość; po drugie — wynika on z chęci zachowania tej całej „nieoficjalności”, „bezpośredniości”, „kamerainości”, której stylizację telewizja wprowadza w akustykę wielomilionowego audytorium. A oto rezultat:

— Na skutek pańskiego skutniczego hobby miejscowy dom kultury ma prawie całą galerię modeli pływających. Czy można spytać co przynosi to panu osobiście?

— Hm, tak. Trzeba powiedzieć, że mam w tym chyba jakąś satysfakcję, poza tym w tego rodzaju zajęciu z pewnością odczuwam tak potrzebne dziś odprężenie.

„Chyba”, „jakąś”, „z pewnością”. Jakby bez żadnych obwarowań stwierdzić stan dotyczący mówiącego to postąpić drętwo, bo odebrać słuchającemu jego stanowisko. W ten sposób od niejednego Kowalskiego dowiemy się jeszcze, że pracuje przypuszczalnie w biurze projektów, może jest właścicielem Flata 125p i urlop spędził prawdopodobnie w Bułgarii.

Bo pan Jourdain-Kowalski nie mówi. Pan Jourdain-Kowalski zdaje egzamin z poetyki współczesnego języka kolokwialnego, opartego na tym „intymnym”, przy czarnym tonie, który jest bon-tonem wywiadu, dyskusji, kącika w BWA. Jak młodzież ma swój dyskotekowy slang, tak środowisko inteligentnie konwersacyjny argot.

Na czym on jeszcze polega? Bo nie tylko na tej elastyczności, wynikłej z troski o maksimum zwrotów koniunktywnych, jakby powiedzieć coś jednoznacznie to pozabawić się całej masy interesujących podtekstów. Polega jeszcze na zachowaniu ciągłości wypowiedzi, kiedy jest na wyczerpaniu treści. Mamy więc „to piękno, które znajduje się w krajobrazie, w pejzażu polskim, które tkwi w urodzie naszej ziemi”, „retrospekcję, powrót w przeszłość, spojrzenie w stronę czasu minionego”, „czynny i aktywny stosunek do rzeczywistości wytworzący szczerą i nieklamną postawę prawdziwego humanisty”. Owszem, język mówiony ma swoją konwencję. Tu jest tylko powtarzanka.

Paradoks: słowo współczesne puchnie. Wyrzeczono kiedyś opinie, że językiem przyszłości będzie perforowana taśma. Tymczasem jesteśmy świadkami zjawiska przeciwnego: słowo traci funkcję konstatacyjną, rozluźnia związek ze znaczeniem, staje się czymś dla siebie. Najpierw mówi, później powiedzieć —

że też nie wpadli na to starożytni.

Nie wpadli i później. Kiedy się czyta teksty np. siedemnasto-, ośmiemnastowieczne, ani śladu tego stylistycznego konwenansu, który jest liturgią bez religii, futerałem bez instrumentu. Nie musiało być źle nawet z grandilokwencją Gongory, skoro zdobywa się na uznanie dla niej sam Przybysz, znany pasjonat maksymalnej kompresji środków wyrazu.

Kiedy więc „język giętki”, który mówi „wszystko, co pomyśli głowa”, jest znamiennym towarzysko-społecznej nobilitacji, tym bardziej dziwne, że w obiegu znajduje się tyle sztonów. Popatrzmy. „Zwiększyło się pole manewru”, to i to stało się „doświadczalnym poligonem”, tu i tam przeprowadzono „przymiarke”. Jedno „nakłada się” na drugie, trzecie „zderza się” z czwartym, piąte jest „na styku” z szóstym. Różnica nigdy nie była duża, zawsze jest „stosunkowo duża”, nawet wtedy, kiedy nie podlega żadnemu porównaniu, warunki atmosferyczne nie są znośne, muszą być „w miarę znośne”, bo to zwiększa stopień intelektualności. A „problem”? Wystąpił

Nie zmuszajcie mnie do lopatologii. Owszem, można grać, pozować, stroić się w piórka. Ale udając nawet szwagra Szeherazydy, nawet księcia Siódmego Księżyca jestem autentyczny. Jako udawacz. Jako, jako. Konieczne odniesienie. Przytoczony zwrot chce powiedzieć o poszukiwaniu środków służących spełnieniu osobowości, ale dla „interesującej” figury stylistycznej popelnia logiczny kika.

A podobno wszystko współczesne zmierza do funkcjonalności, konkretyzacji, redukcji akcydentaliów. Czy może wszystko z wyjątkiem mody i języka inteligencji? Jeżeli nie napawa entuzjazmem perspektywa rozmawiania kodem matematycznych symboli, to musi zdumiewać żywotność wciąż nie wyczerpanej pożywki dla tych breloków, fiksaturów, na chrypcie wyciskanych fiorytur. Dla tego tapirowania mowy we fryzjerych kameralnych (przed kamerami) wywiadów.

To w ulotnej fonii. Co zaś in scriptis, które manent? Na szpaltach?

Zdawaloby się, że co jak co, ale wolny od tych sztamp będzie język literacki

współczesnych tekstów ezoterycznych wymaga paragrafu oddzielnego).

Przynajmniej jednak lojalnie, że „realizacja” i „propozycja” zaczynają powoli wychodzić z użytku. Szumiały wokół poezji lingwistycznej, a ta jakby przycicha. Ale „liczący się” i „znaczący” bryluje dalej. Gdyby przynajmniej była to stylizacyjna nowalijka, którą recenzent jeszcze się nie nacieszył. Tymczasem jest to dowcip z brodą Mahometa, popatrzmy na daty artykułów z „Linii i gwaru”. A zresztą. Co tu straszyc brodą, jakby sama dzisiejsza częstotliwość nie wyrobiła sztampę wystarczającego stażu. „Dajcie mi parę frazesów, bo chcę coś powiedzieć” — tak brzmi wołanie dzisiejszego recenzenta.

A „nośne” metafory? Jakżeby nie. Oto dżwoląg — casus praktyki krytyczno-literackiej: im częściej jakiś zwrot jest używany, tym ma większą gwarancję być używanym dalej, bo przecież żaden piszący nie zechce znaleźć się na pozycji tego niezorientowanego, który jeszcze nie przyswoił sobie obowiązującego słownictwa. Nie mamy salonów w sensie towarzyszkich instytucji snobistycznych. Mamy salony w sensie przyjętych stylistycznych konwencji.

I jakże często służą za parawan osłaniający brak myśli. Na przykład; nie za tego z analizą, gdzieś umyka to przekleństwo sedno, konstruując coś jakby podparta słowem honoru — wtedy co? Wtedy strzela się: „mit”. Dopelniać już nie musi grzeszyć precyzją. Sam „mit” to blysk świadomości, w którym spełnia się myśl krytyczna, a taką oslepienie nie będzie tylko czytelnik — kret. Jakże pchać sprawdzające paluchy w świetlistość łuku nad znaczeniami. Jak nie do wierzać przyszłości nagle rozjaśniającej wizji. Oto stał się ten jedyny w swej celności chwyt krytyczny. Kiedy się powiedziało „mit”, można zejść ze sceny dyskretnie ocierając zroszone czoło. I niech tam sobie huczą oklaski.

Normalny Kowalski mieszka w M-3. Ale pan Jourdain-Kowalski w 3-M. Jak futuryści. Tameci mieli „Miasto, Masę, Maszynę”, ten „Modę, Manię, Manierę”. W myśl powyższego raptem okazuje się, że nie było Stanisława Ignacego Witkiewicza, był Witkacy. Ostatni szal. Powstał w Polsce masowy pojaw bliskich zapomycia autora „622 upadków Bunga”. Lwia część piszących o nim czuje się zobowiązana do tej konfidenckonalnej formy. Gdyby tylko w anegdotach, dykteryjkach, lżejszym kalibrze. Ale skąd. W artykułach, rozprawach, esejach. Praktyka tak weszła w krew, że już nikogo nie razi. Mimo to powstała nie na innej zasadzie, niż ta: dziś się powiedziało, jedenasty nie może być gorszy. 3-M.

Oczywiście, oczywiście. Czy ten i ów z przytoczonych zwrotów nie wykaże się celnością, a nawet oryginalnością? Czy wszystkie zasługują na wygnanie? Uchowaj Bóg i strzeż od grzechu przeciw życiu języka. Ale co innego przyjąć dany trop, a co innego postużyć się nim jak prefabrykatem. Co innego uznać jego przydatność, a co innego mechanicznym powtarzaniem prototyp utłuc na stereotyp. Kiedy „kierunkowa realizacja problemu stymuluje kwestię zaplecza”, język nie żyje. Kiedy „semiotyczny rozrzut wyznacza pole lirycznych napięć”, język nie żyje. Moda, Mania, Maniera współdziałają w dziele zmierzającym do tego, aby powstało zjawisko jedno z najosobliwszych: współczesny język martwy.

WSPÓŁCZESNY JĘZYK MARTWY

Zygmunt Mikulski

z brzegów wszelkich znaczeń. „Celem tego przedsięwzięcia jest problem uzyskania większej wydajności”. „Problem” — święta krowa semantyczna może się znaleźć w każdym obejściu. Mimo to — nie do wiary — jest coś, co go bije na głowę; aż dziw, że dopiero teraz wyrwana ze słownikowej drzemki „formuła”. „Znaleźliśmy formułę dla naszego teatru”, „powstaje nowa formuła krążeńia dóbr kultury”, „na formułę tego sukcesu złożyło się solidne przygotowanie i poczucie aktualności”. W dodatku każdy z użytkowników tych oklepnych brzęczątek jest święcie przekonany, że wprowadza do języka nowe i jakże wyjątkowo — w tym właśnie zastosowaniu — trafne sformułowanie. Ile przy tym wewnętrznie krygowania się, ile przepraszania za oryginalność. Niemal stychać: „Jeżeli by państwo pozwolił na ryzykowną metaforę, porównalbym kobietę do kwiatu”.

„W poszukiwaniu własnej autentyczności”. Prawda, jak inteligentnie brzmi? Aż słodko w uszach. Bo na przykład koń. Cóż z tego, że jest koniem. Jeszcze nie wiadomo, czy jest koniem autentycznym. Tak samo ja. Jestem zastępcą młodszego referenta na poczie, ale chciałbym być mistrzem gry na piccolo-flecie i to mi się nie udaje. Wtedy kwestia nie dotyczy mojej autentyczności jako flecisty. Dotyczy mojej autentyczności w ogóle. Nawet bez „w ogóle”, kropka. Szekspir nie domyślił sprawy do końca. Być sobą, czy nie być sobą — to dopiero jest pytanie.

Literacki, więc przeciwny naśladownictwu, pisany, więc nie wymagający wypowiedzi ex promptu. Tymczasem popatrzmy na recenzję. Różne stylistyczne szlagiery, jakby zabłąkany we współczesności duch „Rebeki”, „Ramona” i „Jesiennych róż” (ach, kto pamięta) znalazł ciepły kącik u tej przedstawicielki acz krótkometrażowej, to jednak żywej ni spe twórczości intelektualnej. Obojętnie o jakiej książce mowa, refren oparty na słownictwie i idiomatyce z żelaznego repertuaru recenzentkiego zagwarantowany. Tu szukaj klerka naszych czasów.

Na przykład recenzja ze zbioru poezji. Czy będzie tam mowa o wierszach? Będzie mowa o „propozycjach” i „realizacjach”. Jakby pisać wiersze to nie wyznaczać swój stosunek do świata, ale szukać sposobu wejścia na rynek. Czasopiśmienniczy, wydawniczy, czytelniczy. Szukać nie miejsca na ziemi, ale pozycji w cechu. Pewnie, że w końcu napisze się i o czymś takim, jak problematyka, wartość artystyczna utworu, ale w sposób jakże opływowy i filologiczny (współczesna fenomenologia stosowana), jakże odwracający hierarchię planów. Nie autor wobec rzeczywistości: autor wobec autorów — oto klucz recenzentkiej piosenki. (Co zaś do autora niniejszego felietonu, byłby niepokieszony, gdyby tych kilka słów zostało przyjętych jako obrona samej poezji, o czym czuje przymus zakomunikować nawet stawiając kropkę nad „i”: mowa tu o języku mniej więcej powszechnym, język

Aleksander Rozenfeld

* * *

Przyjaciółom palestyńskim
studiującym w Lublinie

bez ziemi
bez domu
bez ojczyzny
ojcowie ojców
matki matek
dzieci
dzieci bawią się lalkami
lalki nie mają głów
lalki straciły głowy
podczas nalotu
dzieci straciły głowy
dzieci bez rączek i nóżek
bawią się lalkami bez głów
bez ziemi bez domu bez ojczyzny
pod namiotami całe wsie
spod namiotów dzieci spoglądają do góry
nie słysząc brzęczących punkcików?
brzęczenie pod niebieskim niebem
zwiastuje śmierć
jedain nie zna się na polityce
jedain umie pasać bydło

wie co to jest głód
wie że ta jego ziemia która mu daje jeść
jedainowi zabrano ziemię



Rys. E. Ingłot

bez domu bez ziemi bez ojczyzny
wsie całe opustoszałe
mężczyzn w nich nie ma
mężczyźni uczą się nosić broń

mężczyźni uczą się strzelać
krew za krew oko za oko ząb za ząb
strach
ci którym zadano tyle bólu
ci którzy ponosili straszliwe męczarnie
sami zadają ból
sami powodują straszliwe męczarnie
a powiedział Pan
wyrwiesz smokowi zęby i rzucisz mu je pod
nogi

wyrwiemy zęby
wiemy że łagodność przestała być bronią
my bez domu i przystani
nauczyliśmy się strzelać od tych
którzy do nas strzelali
my bez ziemi
my bez ojczyzny
wiemy
tam nasza ojczyzna
gdzie groby naszych braci
ojczyzna nasza tam
skąd nas wygnano
nie chcemy gwałtu umiemy żyć w przyjaźni
w naszych oczach odbija się światło
niebieskiego nieba nad Jerozolimą i Nazaret
tak strasznie cięży karabin
ręka przyzwyczajona do pługa
bardzo chce do pługa wrócić



Dokończenie ze str. 1

Maria i Jerzy Kuncewiczowie o wrześniu 1939

ciłam białoruskimi powiedzeniami, piosenkami, wyrażeniami gwarowymi. Byłam bardzo zadowolona, bo Tuwim miał niezwykle wyczułone ucho na takie rzeczy. A co się tyczy nastrojów wojennych, to tutaj, w Kazimierzu, prawie się ich nie odczuwało. To było wówczas ciche, trochę zagubione nad Wisłą miasteczko. Piękne, słoneczne lato; do Kazimierza zjechało jak zwykle wielu znajomych: malarzy, aktorów, pisarzy... Jakoś nie wierzyło się w nadciągającą wojnę.

M. D.: — A jednak pisze Pani w „Fantomach”: „Już w sierpniu Alfred Lauterbach, patrząc na Zuzię (Pruszkowska — przyp. MD) jak na osobę, która nieodwołalnie odejdzie, rozciągał apokaliptyczne prognozy. Spoglądaliśmy ukradkiem po sobie. „Alfred się starzeje”. Któż wiedział, że wkrótce Niemiec go rozwał na warszawskiej ulicy?”

M. KUNCEWICZOWA: — Ależ oczywiście, dochodziły do nas wiadomości ze świata; również te najbardziej groźne. Tylko proszę zrozumieć, że ja i moi rówieśnicy należeliśmy do pokolenia, które zachłysnęło się wolnością. Szczególnie my, artyści, żyliśmy wciąż w jakiejś euforii z powodu odzyskanej niepodległości. Stąd tak często, tak usilnie czepiano się iluzji. Po prostu nie chcieliśmy może dopuścić do świadomości faktu, że po dwudziestu zaledwie latach miraż wolności może przysnąć.

JERZY KUNCEWICZ: — W moim środowisku te sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Byliśmy pewni, że wojna nadciągnie nieuchronnie, zdawaliśmy sobie z tego sprawę z całą jasnością. No a poza tym ja wpadałem do Kazimierza tylko w wolnych chwilach, byłem zajęty praktyką adwokacką, siedziałem przez większość lata w Warszawie, a z perspektywy stolicy nadciągająca burza ukazywała się w swojej jak najbardziej realnej postaci. Zresztą, tkwiłem od wielu lat w problemach politycznych. Opublikowałem wtedy „Republikę Globu” i przemyślałem nad dalszymi tomami tej książki.

Ale wspominając nastroje polityczne przedwojennego lata, jakoś najbardziej przychodzi mi na myśl przede wszystkim zdarzenie, które było wynikiem mojej działalności adwokackiej... Otóż na jakieś cztery tygodnie przed wybuchem wojny przejąłem interesującą sprawę, której rzekł się kolega Roman Knoll. Bank Gospodarstwa Krajowego interesował się sprawą ogromnego na terenie Niemiec majątku prześladowanych tam obywateli polskich pochodzenia żydowskiego. Chodziło o wyczekiwanie tego majątku. Ze strony Niemiec prowadził tę sprawę adwokat niemiecki posiadający szerokie stosunki w sferach rządzących. Sprawa była ważna, polecałem więc do Berlina specjalnie wynajętym samolotem. Miałem ze sobą oczywiście potrzebne pełnomocnictwa, szereg dokumentów, ale również — co nie jest blache dla tej opowieści — ogromną paczkę z prowiąntem: masłem, doskonałymi kielbasami, szynką...

M. D.: — W związku z przekonaniem że w Niemczech krucho z zapasami żywności?

J. KUNCEWICZ: — Oczywiście. Chociaż nie byłem aż tak naiwny żeby wierzyć, że Niemcy przymierają głodem, a czolgi są zrobione z tektury. Ale sądziłem — i nie bez racji — że taką „wałówką” zrobię przyjemną niespodziankę mojemu niemieckiemu koledze — adwokatowi. Jakoż ucieszył się niezmiernie z prezentu, a ja miałem jeszcze większą niespodziankę tego samego dnia wieczorem. Kiedy spotkaliśmy się — już tylko na gruncie towarzyskim — w restauracji „Zoologischer Garten”: „Wie pan, kto zjadł dzisiaj pańską kielbasę?” — zapytał. Nie miałem pojęcia. „Otóż zjadł ją sam Goering!”

Zaczął opowiadać, że widział się z marszałkiem Goeringiem w celu wybadania jak przedstawiają się perspektywy prowadzonej przez nas sprawy. Goering telefonował do Hitlera, który dał odpowiedź rokującą dobre nadzieje. „To wszystko co się dzieje — zauważył adwokat — to tylko gra dyplomatyczna”.

Nie bardzo wierzyłem w zapewnienia Goeringa. Od tego, co się widziało na ulicach, włos się jeżył na głowie. Atmosfera niemal przedbitewna, wszędzie pełno wojska, grupy rozentuzjanzmowanej hitlerowskiej młodzieży przebiegające w różnych kierunkach miasta. Co więcej, kiedy wróciłem na lotnisko, zastałem przy samolocie, oprócz pilotów polskich, także dwóch niemieckich lotników. To oni mieli poprowadzić samolot do Polski. Lecieliśmy na wyjątkowo dużej wysokości i najprawdopodobniej inną trasą, omijając — jak się domyślałem — rejon nadgranicznej koncentracji wojsk przygotowanych do ataku na Polskę.

M. KUNCEWICZOWA: — W drugiej połowie sierpnia wpadli do Kazimierza Wierzyńscy. Byli u nas bardzo krótko. Przyjechali jakby na rekonesans, w celu rozejrzenia się za jakąś kwaterą na wypadek wojny.

I jeszcze dwa charakterystyczne fakty: w sierpniu telefonowałam do Ministerstwa Spraw Zagranicznych z pytaniem, czy mam się przygotowywać do szycującego się za granicą kongresu Pen Clubów — Parandowski był wówczas prezesem Pen Clubu polskiego, a Wierzyński i ja — jego wiceprezesami. Odpowiedziano mi z lekką irytacją: „A dlaczego kongres miałby się nie odbyć? Oczywiście, proszę się przygotowywać do podróży”. Drugi telefon był do redaktora Rogoża z „Gazety Polskiej” z pytaniem, czy mam przygotowywać odcinki „Meża Róży”, które miałam nadsyłać od 1 października. Rogoż rozśmiał się tylko: „Oczywiście, niech pani wraca do Kazimierza i pisze”.

J. KUNCEWICZ: — A mnie zarekwirowano w Kazimierzu strzelbę myśliwską. Po co im była na wojnie ta strzelba? Do tej pory nie mogę zrozumieć... Przechodząc do spraw poważnych: wkrótce po powrocie z Berlina wygłosiłem na prośbę pułkownika Antoniego Bogusławskiego, znanego warszawskiego poety, odczyt o wrażeniach z podróży. Odczyt odbył się — o ile dobrze pamiętam — w warszawskim lokalu Klubu Kobiet z Wyższym Wykształceniem. Nie ukrywałem prawdy o zaobserwowanych w Niemczech nastrojach, o rzucającym się w oczy uzbrojeniu, a na zakończenie wyraziłem przekonanie, że jeżeli wybuchnie wojna, Niemcy dojdą do Wisły w ciągu dwóch tygodni. Następnego dnia poprosił mnie do siebie pułkownik Pełczyński z Oddziału II i robił wymówki, że ja szerzę defetyzm.

W jednym z ostatnich dwóch dni sierpnia miało się odbyć w Warszawie nieoficjalne spotkanie kilku wysoko postawionych działaczy Stronnictwa Ludowego dla omówienia układów organizacyjnych w łonie Stronnictwa: Bruno Gruszką — ówczesny prezes rady naczelnej Stronnictwa, Wincenty Witos, Maciej Rataj i ja. Ostatecznie nie doszło do obrad, bo Witos dowiedział się o śmierci żony i musiał nagle wyjechać. Przełożono więc to spotkanie o kilka dni, mieliśmy się spotkać w naszym domu w Kazimierzu.

M. D.: — „...wojna przyszła w nocy. Nie wiem, czy kto pamięta słowa tego komunikatu radiowego, z którego wyloniła się pewność wojny (...) Noc płynęła ani odrobinkę mniej czy bardziej gwiezdna niż wszystkie noce tamtego sierpnia. Księżyc wisiał ogromny, prawie biały. (...) Nic nie zastrzajało, nie runęło... Petunie pachniały. (...) Sasiad huknął wśród krzaków. Zatrzymaliśmy oddechy: oto ostatnia minuta pokoju do przeżycia. (...) Sasiad spytał: — Gdzie państwo są? I coż teraz będzie?”

To fragment „Kluczy”, opowieści o pierwszych dniach wojny i o Pani wyjeździe za granicę, do Francji, a następnie do Anglii. W trzydziści lat później miała Pani zapytać w „Fantomach”: „Do dziś nie wiem, czy na jesieni 1939 r. moja podróż znad Wisły (...) była rzeczywiście konieczna. W każdym razie nie była turystyczna”...

M. KUNCEWICZOWA: — Z Kazimierza wyjechałam dopiero 10 września. Ale najpierw, 3 września, wsiadłam w Puławach do pociągu, i po kilku godzinach podróży zjawiłam się w Warszawie. Myślałam, że moja znajomość języków może się przydać w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nawet nie bardzo chciało mi się rozmawiać. Zadzwoeniłam do Polskiego Radia, które niedawno nadawało moją powieść radiową: „Dni powszednie państwa Kowalskich”. Odpowiedział na te audycje Emilia Grocholska oświadczyła bez chwili wahania: „Proszę jutro do nas przyjść. Oczywiście, wzmówimy Kowalskich czyli „Kowalskich w czasie wojny”. Ale następnego dnia nikogo oprócz woźnych już w Radio nie zastałam.

J. KUNCEWICZ: — Zaraz po otrzymaniu wiadomości o wybuchu wojny pojechałem zameldować się do I pułku szwoleżerów, w którego rezerwie pozostawałem. Ale okazałem się niepotrzebny. Zresztą pułk i tak już wyruszył z Warszawy na front.

Udałem się do mieszkania Macieja Rataja: mieliśmy przecież wkrótce spotkać się w Kazimierzu... Rataj chodził zdenerwowany po mieszkaniu, w rękach miał dubeltówkę. — Cóż on — pomyślałem w pierwszej chwili — do lotników niemieckich ma zamiar strzelać? Nawiasem mówiąc, zaczynały już wówczas krążyć opowieści o samolotach zestrzelonych przez żołnierzy ze zwykłych karabinów. Rozmawialiśmy długo o tym, że Stronnictwo musi połączyć się z wszystkimi grupami opozycyjnymi w stosunku do sanacji. Wypadki na froncie dotyczyły jednak o wiele szybciej niż przypuszczaliśmy...

Chyba 5 września brat mego szwagra, Mieczysław Lepecki, były adiutant Piłsudskiego, zabrał nas swoim samochodem do Kazimierza. Rząd jechał w

kierunku Lublina, u nas miała się mieścić część biur Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Józef Beck zatrzymał się w swojej willi w niedalekim Nałęczowie. Trafiliśmy na zupełnie zamieszanie. Do domu ciągnięto z poczty dodatkową linię telefoniczną, z warsztatów Szkoły Rzemiosł znoszono biurka i ławki...

M. KUNCEWICZOWA: — Do znajomych, którzy spędzali u nas wakacje, dołączyli pierwsi uciekinierzy. Pojawił się jeden z bliższych współpracowników Becka, dyr. departamentu Drymmer z żoną. Była Maria Tretter-Michałowska, naczelny redaktor warszawskiego „Wieczoru”, Stanisław Strzelcki z rodziną; również z rodziną zatrzymał się u nas Stefan Urbanowicz, członek Stronnictwa Ludowego, adwokat, znany z procesu brzeskiego obrońca Witos.

M. D.: — W interesującym szkicu: „Słonimskiego droga na emigrację” zamieszczonym w 6 numerze „Twórczości” z bieżącego roku, pisze Karol Estreicher o pobycie w domu Państwa grupy pisarzy z „Wiadomości Literackich”. Wspomina tam, że przyjechali oni z Warszawy do Kazimierza taksówką 5 września.

M. KUNCEWICZOWA: — Przyjechali więc tego samego dnia, w którym my wróciliśmy z Warszawy. Pamiętam ten wieczór i noc, którą spędziliśmy u nas Grydzewski, Słonimscy, Tuwimowie i Stanisław Baliński. Spali wszyscy na siennikach rozłożonych w dużym pokoju na parterze. Pamiętam też, że smażyło się jajecznicę w wielkim miedzianym naczyniu. Rozmawialiśmy niewiele. Byliśmy wszyscy zbyt zaskoczeni, zbyt wstrząśnięci tym co się działo dookoła. Żartowaliśmy. Próbowaliśmy żartować. Przecież znajdowali się wśród nas ludzie słynni na cały kraj z ciętego dowcipu. Tym dowcipem Tuwim i Słonimski próbowali pokryć swoje prawdziwe uczucia...

W pokoju, w którym jedliśmy, stał pod ścianą niezwykle bukiet: wspaniałe, fioletowe mieczyki w oprawie liści kapusty. Ostatnia pozostałość artystowskich wakacji. Ostatni akcent pięknego lata...

J. KUNCEWICZ: — Następnego dnia nasi goście zdecydowali się jednak ruszać w dalszą drogę. Część wybierała się w kierunku Puław, na pociąg, część jechała własnymi samochodami lub wynajętymi taksówkami. Pamiętam dobrze tylko odejście Tuwima. Właśnie — odejście, bo poszedł na dół, do miasta, wawozem Małachowskiego i tam miał wznająć taksówkę. Przystanął jeszcze na naszej „grobli” wiodącej sprzed domu do dalszej części ogrodu, pokłonił się teatralnie, zamiótł kapeluszem po ziemi i powiedział niby to żartem: „Oto Julian Tuwim, poeta polski, idzie na wgnanie”.

M. KUNCEWICZOWA: — My opuściliśmy Kazimierz dopiero w kilka dni później, razem z Urbanowiczami, ich autem.

J. KUNCEWICZ: — Które nam pod Lublinem zarekwirował jakiś oficer dla potrzeb wojska, a my znaleźliśmy miejsce w autobusie MSZ jadącym w stronę Lucka. Tego oficera od rekwiwencji widziałem później jeszcze gdzieś na trasie. Jechał naszym samochodem z żoną i papugą.

M. KUNCEWICZOWA: — W Lucku opublikowałam swój ostatni tekst literacki napisany w kraju. Był to apel do kobiet-pisarek zaadresowany do: Colette, Virginii Woolf i Emmy van Ammersköller — wołanie o protest przeciwko bestialstwu Luftwaffe, których byłam świadkiem. Apel został nadany przez polowa stację radiową, przewieziona do Lucka z radiowej ekspozytury lwowskiej. Ironia losu sprawiła, że Emma van Ammersköller stała się niemiecką kolaborantką. Colette powstrzymała się od działalności antyniemieckiej, a Virginia Woolf w pierwszym okresie wojny popełniła samobójstwo.

Podczas drogi w kierunku Rumunii zaczęłam robić pierwsze notatki do „Kluczy”. Dopiero w 1946 roku, w Anglii, wróciłam do wątku „Meża Róży” przerwanej przez wojnę. Powstał wtedy „Leśnik”. Ale to już była zupełnie inna książka.

J. KUNCEWICZ: — W Kosowie, 17 września 1939 r., znalazłem w opustoszałym urzędzie miejskim nie wypełnione książeczki paszportowe. Były rozrzucone na podłodze. Wziąłem dwie książeczki i wписаłem do nich nazwiska — żony i swoje. Z takimi oto paszportami przekroczyliśmy granicę Rumunii.

M. KUNCEWICZOWA: — Pytał mnie niedawno pewien młody dziennikarz, co by się stało, gdybym wówczas, w 1939 r., nie wyjechała z kraju. Odpowiedziałam mu, że pewnie powiekszyłabym stan posiadania literatury martyrologicznej. Najtrudniej jest ocenić konieczność własnego losu. Wiem na pewno tylko jedno: że wtedy Tuwim, Słonimski, Baliński, Wierzyński, między innymi i ja — ponieśliśmy literaturę polską w świat.

Rozmawiał i notował:
Miroslaw Derecki

NIEDAWNO temu, na jednej z konferencji teatralnych, pewien poważny, odpowiedzialny artysta i działacz powiedział otwarcie, nikogo zresztą nie zaskakując: „Niebawem dyrektorzy teatrów będą stali w kolejce po absolwentów PWST”. Dosadne to określenie obecnego niedoboru kadr aktorskich można „sorostować” gorzkim żartem: „Kolejki nie będzie, bo absolwentów trzech polskich wyższych szkół teatralnych — warszawskiej, krakowskiej i łódzkiej — zgarniają „spod lady” teatry: Warszawa, Kraków i Łódź.

A tymczasem co ambitniejsza nowo kreowana stolica wojewódzka zdaje sobie sprawę, iż nie samym stadionem czy basenem pływackim robi się karierę w cywilizacji i kulturze, lecz przede m.in. teatrem. Cóż jednak po dobrych chęciach, co nawet po funduszach (które chyba by się znalazły), jeśli brakuje, jak to się mówi w budownictwie, „mocy przerobowej”?

I jednak okazuje się, że z owej kontrwersyjnej sytuacji można wybrnąć „sposobem”. Taki właśnie niebanalny sposób znalazły władze zamojskie w roku ubiegłym przygotowując na rok bieżący Zamojskie Lato Teatralne, z myślą o dołączeniu w bliskiej przyszłości do tradycyjnego miana „polskiej Padwy” — przydomka „polskiego Awionu”.

Zbliża się równonoc jesienna, w momencie, gdy ukaże się w druku niniejszy tekst, będziemy już mieli ją za sobą, summum tempus tedy, bym podzieliła się wrażeniami z pomysłowej imprezy zamojskiej, tym bardziej że odbiła się ona w prasie zbyt słabym echem (nieśwety, acz zapowiadano ją już w zeszłym roku, nie spotkałam na ZLT żadnego kolegi z warszawskiego Klubu Krytyki Teatralnej, poza niezawodnym jego prezesem, red. Romanem Szydłowskim).

Jak więc doszło do akcji „polski Awion”?

Dokładnie dnia 31 lipca 1976 r. odbył się w Zamościu, na Rynku Wielkim w scenerii zabytkowego ratusza, spektakl „Romeo i Julia” zaprezentowany przez Teatr Ochoty. Halinę i Jana Machulskich, twórców tego warszawskiego teatru, przez szereg lat ulubieńców publiczności lubelskiej, zna widz nie tylko od strony sztuki, ale i wybitnej aktywności organizacyjnej — im przecie zawdzięcza się m.in. powstanie w łonie Teatru im. J. Osterwy eksperymentalnej sceny kameralnej „Reduta 70” (pierwotnie „Reduta 61”). Możemy zatem pogratulować ze szczerego serca „naszym” przez długi czas artystom, że ich imiona wejdą do kroniki kulturalnej Zamościa w gronie inicjatorów Zamojskiego Lata Teatralnego. Nie pomniejsza to wszakże żalu odczuwanego w stosunku do Lierownictwa lubelskiej sceny dramatycznej, któremu tak dalece wymknęła się szansa wystąpienia z ową inicjatywą, że autor czy autorka programu ZLT twierdzi z lekkomyślnym pominięciem faktów, jakoby zeszłoroczny spektakl „Romeo i Julia” był pierwszym widowiskiem plenerowym w renesansowej scenerii zamojskiego Rynku Wielkiego od czasu corneilowskiego „Cyda”, wystawionego tu przed 300 laty.

Tak oto dopuszczono, by poszedł w zapomnienie monumentalny spektakl plenerowy „Poskromienie złoŹnicy” w reżyserii Zofii Modrzewskiej, pokazany przez lubelski Teatr Miejski (obecnie Teatr im. J. Osterwy) za dyrekcji Maksymiliana Chmielarczyka, w r. 1948, przed ratuszem zamojskim. Pisał podówczas reporter „Sztandar Ludu” w artykule pt. **SZEKSPIR NA RYNKU. PONAD 8000 OSÓB NA PRZEDSTAWIENIU W ZAMOŚCIU (nr 148):** „Tłumy ludzi... Podążamy na koniec „widowni”, aby przekonać się, jak ci na szarym końcu widzą i słyszą. Świetnie! Mikrofon radiowy ustawiony na scenie doskonale wzmacnia głosy aktorów. Muszą oni co prawda mówić trochę inaczej — trochę wolniej... I dalej:

Chcielibyśmy więcej takich przedstawień. Zdajemy sobie sprawę, że sam teatr nie podola temu zadaniu. Trzeba mu pomóc. W pierwszym rzędzie referaty kultury i sztuki, zarządu miast, Kuratorium Szkolne i wszystkie inne władze i instytucje, które mogą i są w stanie udzielić tej pomocy, bez której sam wysiłek aktora i teatru nie wystarczą, by rozkrzewić sztukę i kulturę w terenie.

Cóż, niekiedy trzeba aż dziesięcioleci, by zrealizowało się górne marzenie.

Tak czy inaczej, z „pomocą” początkowo niegdy bywało. Jeszcze w końcu r. 1954, pisząc o planie objazdowym Teatru im. J. Osterwy, dałam wyraz nieklamanej radości, że otrzymał on wreszcie do rozporządzenia coś w rodzaju zmotoryzowanej staroświeckiej

budy cyrkowej — ciężarówkę przerebioną na poŹledniejszy autobus. Siedziało w nim na ruchomych krzeselkach, które podskakiwały na wybojach, narażając niekiedy swych użytkowników na obrażenia ciała...

Niemniej aktorzy zagrali owo „Poskromienie złoŹnicy”, z werwą, czego jestem dotąd żywym świadkiem. A kończąc już ze wspominkami, dodam nawiasem, że administracja Teatru im. J. Osterwy pamięta również zaprezentowane przez niego na rynku zamojskim w r. 1963 barwne i dynamiczne widowisko Krumłowskiego „Królowa przedmieŹcia”, w adaptacji słowno-muzycznej Leona Schillera, w reżyserii Jerzego Ukłei. Prawdopodobnie to przedstawienie plenerowe ma w żywej pamięci i Jan Machulski, ponieważ wraz ze Stanisławem Mikulskim zbierał najwięcej oklasków.

Organizatorzy Zamojskiego Lata Teatralnego: Wojewódzki Wydział Kultury i Sztuki, Wojewódzki Dom Kultury oraz Urząd Miejski w Zamościu, zaprojektowali na czerwiec — lipiec 1977 r. po jednym spektaklu czterech teatrów dramatycznych z czterech różnych miast polskich: Lublina, Rzeszowa, Tarnowa

sterialnym, wojewódzkim i miejskim, w pracowniach i biurach specjalistycznych. Więcej: wiem z pewnych rozmów, że w toku są prace osuszające czy też odwadniające (nie znam się na tych sprawach) przy fundamentach, słowem prace, przed których ukończeniem nie można przystąpić do owej „rewaloryzacji” wyraźnie widzialnej... Ale fakt faktem: na razie ZamoŹcie sprawa w-białym dniu fatalne wrażenie i ciekło mimo woli oddaje się poszukiwaniu straconego czasu.

Atoli około godziny 21, gdy byłam bliska najczarniejszego pesymizmu, deszcz nagle ustał i rychło ludzie wypełnili wydzielony dla nich zielonymi „parawanami” półkolisty odcinek placu. Zebrało się, tak na doŹwiadczone oko — ze trzy tysiące osób. Można było grać.

Mimo zimna, które zastąpiwszy deszcz srogo dokuczali widzom, „Wesołe kumoszki z Windsoru” zostały przyjęte przychylnie. Lecz sami aktorzy zdawali sobie sprawę, że spektakl, dobry w siedzibie, wymagałby większego przystosowania do warunków plenerowych. Wymagałby zwłaszcza skrótów, bo to, co stanowiło jedną z jego zalet,

tynowało swoje igraszki: pod wieczór chmury wstrzymały się od wodolejstwa i widowisko na zamojskim rynku doszło do skutku.

Powetowałam sobie częściowo ten zawód w czasie lipcowych goŹcinnych występów rzeszowskiego teatru na scenie warszawskiego Teatru Nowego. „Ryszarda II” można oglądać z przejęciem iks razy — taką uwagą nasuwa przede wszystkim znakomita gra Mirosława Gawlickiego w roli tytułowej. Dzięki niej dostrzeżę się w pełni doskonałość faktury tragedii, która poprzez fenomenalne studium charakteru postaci pokazuje mechanizm historii, obnaża morale całego dworskiego otoczenia Ryszarda (tu nawet pozornie niewinne jego ofiary skorzystały w pewnym momencie z owoców jego zbrodni). Czy lotr tout court, jakim go prezentował niejeden wielki mistrz sceny? Jak łatwo uproszczyć tę sprawę! Nie zapominajmy: skrzywdzony przez naturę, postawiony w duchu przez ludzi pospolitych z racji fizycznej ułomności, dumny, bo przewyższający o głowę intelektem nikczemne Źrodowisko, przeciwstawia on w gruncie rzeczy swoje zbrodnie zbrodniom całego Źwiata.

Może wobec spenetrowania przez Gawlickiego psychiki Ryszarda w całkowitym jej wymiarze niewiele szkodzi spektaklowi stosunkowo małe zróżnicowanie w inscenizacji pozostałych osób — skupia się eo ipso uwaga na subtelnych niuansach gry Mirosława Gawlickiego. Monologi Ryszarda w ustach rzeszowskiego aktora przestają brzmieć jak autorska informacja o lotroŹcie postaci, przemieniając się w nowoczesny monolog wewnętrzny. Jest w tej postaci coś z perwersyjnej fascynacji, lecz na pewno budzącej odrzecz do zaczajonego zła powszechnego.

Obawiam się tylko, iż „Ryszard II” jest pozycją przekraczającą możliwości trafnego odbioru przez plenerową, masową widownię. Z rozmów z naozycznymi Źwiadkami zamojskiego pokazu dowiedziałam się, że inscenizację pokazano tam bez zmian uwzględniających plener.

Do trzeciej czerwcowej prezentacji z cyklu „Zamojskie Lato Teatralne”, którą miało być widowisko złoŹone z „Escorialu” i „Kramu Karoliny” Ghelderodego, w pięknym opracowaniu wybitnego reżysera-choreografa, Henryka Dudy, dla Teatru im. Ludwika Solkiego w Tarnowie — w ogóle nie doszło. Po prostu z powodu oberwania się chmury po kilkunastu minutach od rozpoczęcia spektaklu.

Za to w niedzielę 31 lipca Zamojskie Lato Teatralne zakończyło się pełnym zwycięstwem nad podstępny aurą. Teatr Ochoty pokazał na Rynku Wielkim „Hamleta” wbrew ulewie, błyskawicom i piorunom. Był to spektakl zaiste niesamowity, zjawiskowy. Główne miejsce do grania, czarna estrada, wieŹ ratuszowa, skąd zwiŹala aż do ziemi żalobna draperia-chorągiew, spowiła mgła, rzecz można — impresjonistyczna. Wstępne sceny z Duchem ojca Hamleta, którego płaszcz purpurowy ukazywał się na wieŹy coraz wyŹej poprzez chmury naturalne, łączące się z efektami pirotechnicznymi — te sceny, w teatrze zazwyczaj kłopotliwe, nabrały szczególnego poŹytu balladowego. Dodawała im poezji, jak zresztą i całego przedstawienia, oryginalna, wymowna muzyka Czesława Niemena, skomponowana do tej inscenizacji, doskonale nagrana przez Annę i Stanisława Pawluków. W miarę zmagania się aktorów z wrogim żywiołem zaczynało się wydawać, że Jan Machulski zmusił naturę do służenia swej inscenizacji.

Teatr Ochoty przygotował „Hamleta” specjalnie jako widowisko plenerowe, pokazywane bez przerw. W pracy tej liczy się nie tylko spektakl wykończony, który trzymał w napięciu 3-tysięczny tłum, ale i blisko dwutygodniowe codzienne próby otwarte, przed ratuszem, na których też nie brakowało widzów, zwłaszcza dzieci, bezpośrednio potem naŹladujących na własną rękę poszczególne sceny. Jest to więc jakaŹś interesująca odmiana „27 prób” Andrzeja WaŹdy — w szerzej ujętym zakresie kulturalno-spoŹecznym.

Komunikatywną inscenizację „Hamleta” Teatru Ochoty, z jej zasadniczym uwydatnieniem momentów behaviorystycznych (co musi się odbywać oczywiście kosztem pominięcia tu i ówdzie finezyjnych refleksji) naleŹy koniecznie wykorzystywać wielokrotnie; tam, gdzie jest po temu odpowiednia sceneria zabytkowa. SądŹę, że pokaz tego „Hamleta” odniŹsłby sukces i w Avignon francuskim.

Na razie — bravo dla ZamoŹcia!

TEATR CONTRA ZYWIOŁY

Maria Bechcyc-Rudnicka

i Warszawy. Zaszczyc inauguracyjnego tegorocznego osobliwego festiwalu przypadł w udziale lubelskiemu Teatrowi im. J. Osterwy, od lat systematycznie uwzględniającemu ZamoŹcie w swych planach objazdowych. Teatr Osterwy ma wŹlasnie w repertuarze pozycje znakomicie nadajacą się na spektakl plenerowy w pięknej staroŹwieckiej scenerii. SĄ to szekspirowskie „Wesołe kumoszki z Windsoru” z wyjątkowo trafnie dobraną obsadą, w arcydowcipnej inscenizacji Józefa Słotwińskiego, której walory oceniałam już szczegółowo na łamach „Kamena” i „Teatru”. Teraz towarzyszyłam zespołowi w wyprawie do ZamoŹcia chcąc zaobserwować zmiany, jakim ulegnie widowisko w plenerze.

W dniu spektaklu byliŹmy na rynku zamojskim rano, około jedenastej, chodziło o pełną próbę w warunkach lokalnych. Niestety uniemoŹliwił ją rześisty deszcz, który trwał uporczywie przez cały dzień, zamieniając się od czasu do czasu wręcz w ulewę. Asystent reżysera, Roman Kruczkowski, obrzucał raz po raz wściekłym spojrzeniem już to zaŹaną estradę, już to ściŹle obłoŹone chmurami niebo. Akorzy snuli się melancholijnie pod podcieniami. Co do mnie, skierowałam się do przytulnego hotelu „Renesans”, gdzie zamówiono dla mnie pokój na dzieńny odpoczynek. Pozostawałam wszakŹe w telefonicznych kontaktach z organizatorami. Przebakiwano o moŹliwym odwołaniu spektaklu, przeniesienie go do Domu Kultury byłoby niepoŹadany kompromisem, skoro piękne dekoracje Liliany Jankowskiej zostały w Lublinie wobec ich nieprzydatności na tle zabytkowego ratusza.

Przyznam się — i mnie ogarnęła depresja... WłaŹciwie od razu po przyjeŹdzie. Na widok przeraŹającego stanu tej „polskiej Padwy”, tego zabytku klasy zerowej! Po prostu nie wyobraŹam sobie, Źe tak dalece podupał od czasu, kiedy go ogladałam ostatnio, gdzieŹ w latach szeŹdziesiątych. Owszem, dzieŹ dowiedziałam się z artykułu kol. Jerzego Dostatniego „Dyskusja publiczna bez publiczności” („Kamena” z 21 VIII br.), Źe projekt miejscowego planu szczegóŹowego zaospodarowania przestrzennego i rewaloryzacji Zamojskiego Zespołu Zabytkowego był już przedmiotem dyskusji na szczeblach mini-

obróciło się przeciw niemu: dynamizm, na który składało się m.in. wielokrotnie, niemal farsowo zabawne latanie tam i z powrotem po schodach. Wszak schody reprezentacyjnego ratusza są znacznie wyŹsze od zaprojektowanych



Teatr Ochoty. William Szekspir — „Hamlet”. Janusz LeŹniewski (Hamlet) i Krzysztof Kiersznowski (Laertes)

Fot. E. Ciolek

dla sceny pudełkowej, stąd nieprzewidziane nadmierne wydłuŹenie się spektaklu.

Następną czerwcową prezentacją „Zamojskiego Lata...” był „Ryszard III” rzeszowskiego Teatru im. Wandy Siemaszkowej, w reżyserii Stanisława Wieszczyckiego. Tego dnia też lało w Lublinie od wczesnego rana. Zdemobilizowana bezradziejną, zdawałoby się, aurą, małodusznie odprawiłam podstawiony samochód. A przecie niebo kon-

Temat koński

TEMAT koński pojawił się w sztuce już w odległej starożytności, o czym wiadomo raczej powszechnie. Koń stanowił niegdyś środek lokomocji, maszynę bojową, źródło doznań emocjonalnych (Bucefal i Aleksander Macedoński) oraz symbol pozycji społecznej i męskości, aczkolwiek pod tym ostatnim względem konkurował z nim osioł, o czym tak sugestywnie wytkadał kiedyś jeden z profesorów. Ostatecznie jednak to właśnie koń zdominował historię sztuk plastycznych, największą bodaj sławę uzyskując pod postacią rumaka, którego w XV wieku wyrzeźbił w Wenecji Verrocchio, osadzając na małowłowym, monumentalnym zwierzęciu słynnego w tamtych latach kondotiera Colleoni. Ten rodzaj ujęcia miał się wkrótce rozpowszechnić po całym cywilizowanym świecie; ksiądz Józef Poniatowski sprzedał warszawskiego pałacu Rady Ministrów ten właśnie wzór kontynuując.

W sztuce polskiej koń poszedł galopem szczególnie w wieku minionym, kiedy to artyści krzepili nasze dusze narodowe, wspominając na płótnach czasy minionej chwały. Miało to określone skutki praktyczne, kształtowało polski stosunek do zaborców oraz ikonografię świadomości narodowej, można zatem powiedzieć, że owe patrole powstańcze Maksymiliana Gieremskiego, konne polityki i bitwy Kossaków czy Brandta ciągle aktualizowały tytułowy motyw. Inaczej mówiąc, nie było to tylko i wyłącznie malowanie starego, sympatycznego tematu. Zresztą jeszcze na początku XX wieku koń był w Polsce podstawowym środkiem lokomocji ziemiaństwa i główną siłą pociągową w gospodarstwach rolnych. Zwierzę zasługiwało na szacunek i wizerunki.

Ale już w dwudziestolecie międzywojennym konie zaczęły pierzchać z obrazów, bo: awangarda kpiła z takich starych tematów, kolorysty nade wszystko cenili pejzaże i akty (właściwie samo malowanie), a komunikację indywidualną i masową bez reszty opanowały konie mechaniczne i parowe. Owszem, Kossakowie nadal cieszyli się wzięciem szerokiej publiczności, ale równocześnie znaczne powodzenie zyskał Kazimierz Lasocki, malarz krów, w którymś tam roku zaproszony do Londynu i podejmowany przez jedną z prominentnych osobistości dworu królewskiego. Nasza prasa akcentowała to wydarzenie stosownymi fotografiami. A konfrontowanie konia z krówą nie jest tu żadnym nieporozumieniem, ponieważ pojawienie się tej ostatniej w roli modelu artysty sygnalizowało, moim zdaniem, nadejście epoki pragmatycznej, zorientowanej na wartości użytkowe. Przypomnę, że w tym właśnie czasie Rafał Malczewski odrobił całkiem solidny, chwalony przez prasę reportaż malarski z Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), odpowiadając tym samym na społeczne zapotrzebowanie.

Dzisiaj, naturalnie, konia wypędzono ze sztuki. Eksmisja zaczęła się wtedy, kiedy w gazetach i fachowych periodykach pojawiły się pu-

blikacje uzasadniające potrzebę likwidacji konia w Polsce: bo zre owies, pije wodę, korzysta ze słomy i skórzanej uprzęży, no i nie jest ze stali, a tym samym nie może występować w charakterze symbolu. Zbieżność owych faktów jest raczej przypadkowa, choć trudno powiedzieć, że takie stwierdzenie wyczerpuje sprawę.

Istnieje przecież jedno miejsce w kraju, gdzie koń czuje się dobrze zarówno pod względem fizycznym, jak i artystycznym. Chodzi o stadnię w Janowie Podlaskim, która obchodziła właśnie 160-lecie, urozmaicone licznymi imprezami z udziałem gości krajowych oraz zagranicznych.

Ci ostatni przyjechali do Janowa po to, aby — jak się okazało — wydać milion sto tysięcy dolarów na zakup koni, ci pierwsi pojawili się nad Bugiem w celach poznawczych, towarzyskich oraz artystycznych. Kilkunastu malarzy rozłożyło tutaj stalugi, aby uwiecznić rumaki w różnych pozach i sytuacjach, chwając sobie zarówno warunki pobytu, jak i same modele — podobno tak trudno do portretowania, jak ludzie. Byli wśród nich malarze starszej generacji, m.in. Władysław Borowicki z Krakowa, uczeń Wojciecha Kossaka, który jest właściwie już rezydentem Janowa, człowiekiem wielce tutaj szanowanym i cenionym. Maluje konie smukłe, zgrabne, biegające po rozległych łąkach i nie zatracające pod jego pędzlem indywidualności, co nawet zaskakuje kogoś, kto poinformowany wstępnie li tylko o momentach biograficznych Borowickiego, chciałby wiązać jego twórczość z przetrwoną, było nie było, tradycją malarską. Na plenerach w Janowie pojawia się też Ludwik Maciąg profesor stołecznej ASP, również kontynuujący „końskie tradycje” naszej sztuki. Pokrewny im pokoleniowo Bazyl Albiczk reprezentuje odmienną konwencję, odmienną postawę artystyczną. Jego pejzaże, w których koń jest tylko jednym z elementów kompozycji, są dla mnie najciekawsze.

Spotykamy przecież w Janowie ludzi młodych i powstaje pytanie, co ich tutaj zwabia: koń jako temat malarski, czy też wakacyjna okazja do pomalowania sobie w całkiem przyzwoitych warunkach, o które dbają wojewódzkie władze kulturalne Białej Podlaskiej, dyrekcja stadniny i różne inne instytucje janowskie. Publicznie twierdzą, że koń i nie ma poważniejszych powodów, aby im nie wierzyć. No dobrze, ale dlaczego właśnie konie?! Młodzi artyści, ci czolowi, próbują dziś ocenić rzeczywistość z pozycji moralnych, albo badają samą sztukę jako specyficzny język. A na takich terenach koń nie istnieje, lub — jeśli w jakiejś metaforycznej postaci pojawi się na nich — pada natychmiast jako zwierzę o takiej a nie innej formie, która wabiła niegdyś malarzy. Więc o co chodzi?

Chodzi chyba o to, że Janów jest atrakcyjnym miejscem do malowania, które odwiedza się na retrofali i aby zetknąć się ze szlachetnym, coraz rzadziej już spotykanym fragmentem natury, jakim jest właśnie koń. Zobaczcie zresztą stado cwałujące po nadbużańskich łąkach...

IJK

- J A przyszedł klacz kupić, ale jest chora. Klacz widzę, i nie chcę kupić. Niech pan zobaczy: parchy ma po sobie. Parchy ma... rozumie pan. Z deszczu, bo stał na dworze, czy coś, no i parchy ma z tego. No i nie chcę kupić... Pan zobaczy jego. Pan zobaczy, jak on mieszka... Ludzie! To rozpacz jest.

Człowiek z koniem:

— Zmarnowane mam życie dlatego, że się pracowałem, a tak się nie odżywało. Lachnęło się za pracą i teraz nic z tego... Został tylko konik i ja zostałem sam...

Wiesz zwykła, jakich wiele; domos-

tak jak on właściwie mieszka, no to żywe koranie jest...

Opowieść człowieka z koniem:

— W tej szopie tak tu sobie mieszka i tak nocuje. I trzymam tak konika i obok tak zara śpię sobie... Był stary, już nie mógł wytrzymać ten dach i tak jakos po deszczach namóid i upadł dach. Jak będzie silny mróz, później śnieg to już nie ma mowy.

Poprzednio to była matula. I była siostra starsza ode mnie. Ale jednakże siostra zachorowała w zeszłym roku. No i odstawiłmny w zeszłym roku do szpitala, do Lublina. Jednakże szpital nie pomógł i zmarła. A matula tutaj też, jak mówiem,

CZŁOWIEK Z KONIEM

Janusz Wszytko

twą dostatnie i nieco gorsze. Tych dobrych więcej. Między oplotkami toczy się zwykłe życie. Jak to w gromadzie.

— Pyta się ten czego z Domaciu-kiem tak jestaj? Ja nie wiem, czego on tak tam żyje. On ma dom zawalony — mówi sąsiadka człowieka z koniem.

— O, tu prawo pójdziecie, to tam jestaj. Taka zawalona buda. To taka ta szopka. O widzi pan? No musi,

była i syn starszy wzion już z miłosierdzia, bo niemożliwe, żeby tak już matula tutaj tak mieszkała. A mnie nie chcą i ja tak zostałem...

W zeszłym roku w grudniu zachorowałem ciężko. Na grype...

Nasz lekarz z ośrodka przyjechał i wszed do mnie, tam było w mieszkaniu, ale tam było tak jak tu teraz. Więc weszli mnie podnieśli i do taksy. A mnie dał na prześwietlenie



Fot. Z. Jaśkiewicz



Fot. J. Mirosław

skierowanie i jak się żem prześwietlił do od razu tak małe skierował do szpitala.

W szpitalu byłem dwa miesiące. A tak i zachorowałem na płuca proszę pana...

A te gospodarstwo upadło, bo byłem już chory, znaczy się na środek. Na płuca i nie mogłem już tak pracować. I już do pracy mnie tak ręce opadły, a tu trzeba było coś tak trochę zarobić. Jakby do pracy państwowej się zgłosić i pomaleńku tak kupić trochę materiału na budowę. O dlatego...

A ja nie odczuwałem, jak byłem chory, a później, jak wykazał, marnie było z płucem...

Brat jest w sąsiedztwie. Starszy. Znaczący się na wsi sąsiedniej. To jest ta sąsiednia wieś. Tam uprawia i tutaj nawet też uprawia w naszej wsi. Matuli uprawia, bo matula u niego od zeszłego roku jest. Tu uprawia u nas obok mnie. A ja mam, tam, jak widzi pan, o tam, przy tamtym starym mieszkaniu, piecyk. Tam tak sobie herbaty zagotuje, no i chleb jak sobie kupię to tak z herbatą popiję.

Pare kurek jeszcze mam. Sie niosą proszę pana. To na szczęście tak moje. Może trzeba będzie tak gdzieś pójść do kogoś. Na jakieś ubłaganie. Może gdzie kto przyjmie...

Tu mnie tak siostra pomogła. Jakoś w sobotę odjechała... Z Lublina. Ale miała tak gdzieś przyjechać na dniach i coś jej nie ma. Ale przyjedzie. Na pewno...

Proszę pana, jakby mnie się nie chciało pracować, to ja bym tak nie zachorował na środek. Właśnie pracowałem. Inni to kosiarkami koszą, a są takie silne chłopcy i koszą, a ja koszą musiałem. No nie miałem pieniędzy na kosiarkę konną. Konik był... Miałem może ze dwa hektary łąki. Nie wesoło tak, proszę pana. Tylko zapłakać. Człowiek z siłą upadł. Tak. Chciałoby się pracować, ale siła nie pozwala. Sąsiedzi nie pomagają...

Wypowiedź osoby urzędowej:

— Co myśnię mogli zrobić, to myśnię już w zasadzie zrobili. Matkę jego, to znaczy właścicielkę gospodarstwa, umieściliśmy u jednego z synów. Placimy mu dziesięć złotych miesięcznie jako zapomogę miesiadczną na utrzymanie... To gospodarstwo z czasem zostanie przejęte przez państwo. Wtedy czy wydzieli się kawalek tego gruntu, na którym on mógłby sobie gospodarzyć. Wtedy by może stanął na nogi... Zresztą jeden człowiek w takim dużym gospodarstwie absolutnie nie podoba...

Człowiek z koniem, uwaga na miejscu:

— Ja się wie pan zwracałem, prosiłem władzy, ale pracy dla mnie jak ze szpitala wróciłem nie było.

Komentarz sąsiada spotkanego między opłotkami:

— Faktycznie, jakby się nim zajęli to by tak nie ginął. A my co, to jego sprawa i władzy. Każdy z nas we własnym gospodarstwie ma dosyć spraw...

Refleksja druga człowieka z koniem:

— Tutaj człowiek jakiś jest, co mnie mówi, co pan będzie się tak męczył. Niech pan do mnie przyjdzie pracować. Zapłacę. Ale, wie pan, ja tak już na roli pracować nie mogę. Bez ten środek... Dzisiaj byłem u maszyny, bo mnie sąsiad prosił, a mnie trzeba było słomy, bo tam gdzie śpie, to mnie się taki dołek zrobił. Więc jak stanąłem przy maszynie, do południa było takie lekkie młócenie, więc mnie tak ciężko było, że mnie pot zalewał...

Z wypowiedzi osoby urzędowej ciąg dalszy:

— No cóż, jego by można gdzieś zatrudnić. Umieścić w hotelu robotniczym, ale przecież blisko mieszka tu jego brat, więc co władza może? W ogóle ten brat się jego wyrzekł. Zmienił nazwisko...

Człowiek z koniem:

— E, a kto panu mówił, że mnie się brat wyrzekł. On, ten brat, to jest na boku żonaty Mieszka z żoną, a to i ze mną nie może. Brat wie, że ja tu w tym szalście mieszkam, ale co, co on poradzi. Na boku żonaty. A tam nie ma miejsca na komórkę dla konika, choć ja z nim bym mógł mieszkać...

Krótką kwestia brata żonatego na boku:

— Przyszliście panowie do mnie po decyzję w sprawie brata, jego warunków życia. Nic wam nie powiem... Proszę wyjść. Nie będę mówił. A jak chcecie to sami mu pomóżcie...

Ludzie jak będą chcieli ziemię wżonć, to niech biorą. Żal ziemi, ale cóż... Pójdę wiedzy w świat.

Poranek przedświąteczny

Maryla Banaś

DZIEN w Urzędzie Gminy nie zapowiadał się przyjemnie. Brakło koksu i w starej zabytkowej kamieniczce, gdzie mieścił się urząd, panowało wilgotne zimno, potęgowane stęchłym zapachem grzyba, który pomimo paru remontów rozprzestrzenił się wszędzie. Na dobitkę brakło światła, ponieważ instalacja elektryczna była tak stara, że co chwila, kiedy ktoś usiłował włączyć czajnik, korki wywalaly z trząskiem.

Dano sobie wreszcie spokój ich daremnym renowowaniem i pozbawieni herbatki urzędnicy siedzieli w półmroku, bo rano był mimo wiosny kalendarzowej ciemny i padał deszcz ze śniegiem, a zabytkowe okna przepuszczaly zbyt mało światła, by móc pracować, a nawet plotkować.

Pozbawić współczesnego urzędnika herbatki, kawy i maszyn liczących to zupełnie tak, jakby odebrano rzemieślnikowi liktorowi jego różel. Wprowadzić do katach wałaly się stopy starych liczydeł, ale do tego, by ich użyć, nie poniżyłaby się żadna z pań. Poza tym była wielka sobota i nikomu już nie chciało się pracować, bo każdy był myślny w domu i tylko wystraszano stosownej okazji, by pod być pretekstem zniknąć.

Wszystkie mniej ważne działy były już puste, ale księgowość i sekretariat niestety musiały mieć pełną obładę w oczekiwaniu na interesantów, którym przyszedłoby do głowy w to już prawie święto dokonywać operacji finansowych lub składać jakieś ważne podanie. Na szczęście nikt taki się nie zjawił poza jednym chłopcem usiłującym wytłumaczyć, że nakaz płatniczy przysłany na jego ojca jest już nieaktualny, bo tamten zmarł przed dwoma laty.

— To ja to zostawie — sumitował się do pleców urzędniczki zajętej poprawianiem frezury — boś mu przecie na ementarz nie zaniese.

— Jak jest nakaz to płacić, a nie gadać — wtraciła panna Lucyna, wlepiająca sobie właśnie nowy krem pod oczy i usiłująca od razu dojrzeć w lustrze efekty działania tego specyfiku.

— Ten kto pisal, wiedział, co pisal, a koleżance nie przeszkadzać, bo zajęta, nie widzicie?

— No to mu przecie pisma święty Pieter nie doroczy.

— Niech doręczy kto chce, a zapłacić trzeba. Jest przecież? Jest. Jest podpis? Jest. To znaczy że ważne i płacić, bo komornik oświadczył.

— Chyba mu działy na ementarzu nie zajmie — zdrwił chłop.

— Jemu nie, ale wam może co zająć przy okazji.

— A to idźta do cholery — zdenerwował się interesant i trzasnął drzwiami.

— A to cham — obruszył się pozostałe panie. — Skocz na kłona do frezjera z czajnikiem, bo tam prad jest, a czas na śniadanie.

— Lucyna skoczyła — zawrokowała główna księgowa — nie jesteście wstawdzie najmłodszą, aleś panna, a panna powinna usłużyć mężatkom.

Lucyna dźwigając ciężar swego staropanieństwa i pokazny czajnik, udała się w drogę i gorzko rozważała dylematy, bo dwudziestoseściolatekniej panny w miasteczku.

Tymczasem koleżanki jej wytrzymały słodki z chrząnem, ówki i rozmaitymi przwarawami. Wiele talerzki, szklanki i pokazne ilości wędliny z chlebem. Mvliby się ten kto przynuszałby, że jest to śniadanie z racji świąt wiatkowe. Co to, to nie, panie jadały tłusto i obficie zawsze, a już śniadanie musiało być porządne, bo odczuwały trochę przywimowanie natrętnych interesantów. Przy porządku bo-liku można było opowiedzieć sobie sny, treść porannych kłótni i plany na popołudnie.

— Zie mieć chama — ubolewała tego pani Todzia — mój stary jak mnie z rana w mordę nie ćmachnie, to myślę że chory, zresztą przywykłam.

— Nie gadał, on tylko nerwis — zeromila ja szefowa — co, ile ci z nim? Samoehód masz, chalupe też, a gęba nie ze szkła, nie popeka.

— To i racja — zgodzila się Todzia — ale czasem to taki mam cały dzień do niczego.

— Wszystkie chłopcy takie są — stwierdziła Hania — dlatego nie wyjdę za mąż.

— Co ty wiesz o chłopach jak ci pięćdziesiątka stuknęła i też panna jesteś!

— Przynajmniej nikt mnie po mordzie nie leje — odczęła się zaczepiona.

— No cicho już, nie klócić się — przerwała szefowa — bo w wielką sobotę to grzech. Teraz, żeby nie tracić czasu przed śniadaniem, to wyskocz do kibelka.

— O, ja też — ożywiła się Todzia — tylko trzeba wytrzeć jak z pogodą.

Wyprawy do toalety to było też coś, co przerywało poranną monotonię, bo budynek nie doczekał się jeszcze kanalizacji i panie musiały udawać się przez cały rynek do szaletu miejskiego. Wymagało to, rzecz oczywista, włożenia kapelusza, palta no i poprawienia sobie ust czy przypudrowania nosa. A to już stwarzało cały rytuał.

To, żeby wybiec z głową gołą czy w narzuconym płaszczu, było tak samo nie do przyjęcia, jak nie do przyjęcia byłoby zabranie ze sobą starej gazety lub papieru maszynowego, zamiast specjalnie wymiętej przebitki czy bibulki, w której przynosiły sobie śniadania.

Papier musi być wykorzystany — mówiły kładąc kanapki na talerzyki, chowając bibulki do kieszeni — przebitka do niczego bo śliska, co śniadaniowcy to śniadaniowcy, mięciutki i miłutki.

— Kobietki, nie wychodzić wszystkie razem — rozkazała przełożona — jeszcze kto pomyśli, że nie pracujemy, tylko włóczymy się po rynku.

— Ja i Hania zostaliśmy — stwierdziła Todzia — bo szefowa ma pierwszeństwo, noż tym wożny przynieśie zaraz poczę, a plotkarz ten grzyb cholerny pierwszej wody i rozgada, że nas nie ma na stanowiskach pracy.

— Dzień dobry Gadomskiemu — zawołały w stronę tysego chłopca w szarym urzędowym sznelu — śladać, śladać sobie, poczta nie ucieknie, co słyhać?

— Dużo, dużo słyhać — usiadł zadowolony wożny, kładąc opasłą torbę z pocztą na okolicznościowym stoliku na wysoki polysk — a u was zimno, co?

— Zimno, bo podobno koksu nie ma.

— Koks to jeszcze nic, a wy nie wiecie?

— A co, co?

— E, czasu nie ma, bo onowiedziabym czego zimno, choćby i koks był, to byłoby nie ciepiej, bo palacz przygryzał sobie od czwartku.

— Opowie Gadomski, odnośnie — podawały mu paczkę Carmenów — zapali.

— A jak tak, to już zapale i opowiem co to wczoraj było. Wczoraj ide do domu wieczorem i spotykam taką grubą kobietę, nietutejsza, ale mnie zna, woła — panie Gadomski ratuj, a opana jak cholera. Ja się boje żeby mnie stara nie zobaczyła, bo ta nietutejsza to znają, a dlatego to wiecie i mówie — czego kobieta ty chcesz. A ona w płacz i mówi, że palacz z tym co to węgiewozi. Kaktus na niego wołają, zawołały ją do kotłowni na wódkę i spooli. Na tym nie koniec, ale wzięły jej dowód i oświadcze. Pieniądze rzecz nabyta, to już ich nie chce, ale o dowód niełatwo i prosi mnie żebym szedł z nią do kotłowni, bo ony tam jeszcze są. No to poszliśmy. Ony były jeszcze, obudziłem ich i wyjaśniam o co chodzi, a Kaktus mówi: Odpieprz się, miała co chciała, nie tylko wódkę. Za darmo nie ma. Za wódkę zapłacić trzeba. Dowód cholera pewnie gdzie zgubiła, a ty ludzi nie budź. No to co tam miałem do roboty, wychodze, a kobieta za mną idzie i płacze, że nie ma się gdzie podziac. Ja sie tylko rozglądam, czy mojej starej gdzieś nie widać, bo jej tak łatwo nie wytłumaczę, że ja tak tylko z litości, a osoba urzędowa jestem i wstyd iść z taką.

— No i co było? — rozciekawione panie zapomnialy o czekającej je wyprawie do kibelka, a Lucyna, która już przydzwigala czajnik, postawila przed wożnym szklankę z gorącą herbatą.

— Nie rozpieszczajcie mnie — siorbnał zadowolony lyk plynu — nie macie tu przypadkiem czego mocniejszego?

— Na razie nie — zafrasowały się — ale przy wielkiej sobocie może co być — spojrzaly pytajaco na szefowa.

— Dawać po dwie dychy — zady-sponowała — Lucynciu, no już leć, a pan Gadomski zaczeka, raz w roku to się z nami napije.

— Gdzie bym śmiał — certował się sprytny chłopina — tylko skończe i już lece.

— Szybko, Lucyna — ponowila rozkaz szefowa — migiem.

— Dlaczego tylko zawsze ja? — rozżalila się Lucyna — nie tylko latam i latam.

— Aleś wodę gotowała godzinę!

— Nie godzinę, tylko uczesać się kazalam w tym czasie, żeby nie siedzieć na próżno, a teraz mi lakier z włosów obleci.

— To bierz chustkę i nie dyskutuj.

Lucyna wyszła z segregatorem spreparowanym tak, aby było miejsce na butelkę, a panie słuchaly dalej.

— Ale, ale, zadzwoncie po Adele na dół siedzi tam sama i nudzi się, a wy zapomnacie o koleżance — czynila wyrzuty główna księgowa swoim podwładnym.

Opasła Adela ukazała się w drzwiach za chwilę sama, uprzedzając ich intencje.

— Nie macie trochę kawy? — zapytala — Bo ja to już zupełny narkotyk jestem, bez kawy żyć nie mogę.

— Siadaj, zaraz będzie coś lepszego — zaprosily koleżanki.

— Co wy, pierony, znowu pijecie? — wzbraniała się filuternie. — Ale tylko malutkiego.

— Lubisz malutki? — zachichotaly przyjaciółki — Tyciutkie, malutkie? — Cicho, mężczyzna słyha.

Przypomnialy sobie o wożnym.

— No i co z tą babą?

— A nie, spotkałem Tadka, tego gruźlika i mu ja zostawilem. On sam jest, to siedzi do dziś u niego i chłop sobie używa, a baby są takie że same leżą. Sam miałem taki przypadek z tą głupia Justynką, ale to już wam za chwile opowiem — zerknal na Lucynę, która wróciła z wyprawą do sklepu monopolowego.

— Co tak długo byłaś? — oburzyly się — Naley no panu Gadomskiemu, ale ten duży, nie turystyczny, turystyczne to dla nas.

— Kolejka ogromna — odrzekla Lucyna — prawie mnie wypchać z niej chcieli.

— Ale ta hołota pije — stwierdzily urzędniczki — no, rozlej, bo zimno tu. A co przynieśiasz, żyto?

— Gdzie żyto, ledwie myśliwska dostalam, żyto było rano i już wykupili.

— To świąństwo, ziołami czuć, ale trudno, jakoś wypijemy dziewczuski, co? — zdecydowała szefowa.

Trzy koleżki przeszly szybko i teraz wszystkie przyjemnie rozgrzane, posilajac się zapasami domagaly się drugiej części opowieści wożnego.

— No, gadał pan o Justynie, wszystkie ją znamy, a tu czasu już nie dużo, bo o dwunastej nas pewnie zwolnią do domu z okazji świąt.

— Justynkę znacie wszystkie — zaczął wożny — a nie wiecie, że przez nią jeden chłop, Przędzik się nazywa, trzy lata w więzieniu siedział.

— Przez tą głupia?

— Głupia to ona nie na wszystko, na inne to mądra. Wiecie, ta ofiara

Dokończenie na str. 12

„NIEZIDENTYFIKOWANY OBIEKT SPADAJĄCY”

Marian Aleksandrowicz
Istvan Grabowski

KAZDY szanujący się recenzent rozpoczyna omawianie danego zjawiska artystycznego od przypomnienia jego historii. Ma to sens wtedy tylko, kiedy historia wpływa pozytywnie na obecny kształt zjawiska. Tadeusz Nalepa — gitarzysta i kompozytor, od lat niezmiennie lider grupy „Breakout”, o którym będzie tu mowa, sprawia wrażenie, jakby dla niego historia nie była nauczycielką życia.

czem było dla wszystkich pojawienie się na rynku nowego longplaya „Breakoutów” — „NOL” („Niezidentyfikowany Obiekt Spadający”).

Czas dzielący nagranie dwóch ostatnich dysków lider zespołu wypełnił niemal całkowicie bezczynnością. Jak po każdej sesji studyjnej, tak i teraz szef rozpuścił swą kompanię i zajął się poszukiwaniem nowych ludzi. Dlatego też kopertę najnowszego albumu zdobną zupełnie nowe w tej formacji nazwiska.



Breakout

Od ukazania się siódmej płyty „Kamienie” upłynęło równo półtora roku i w tym okresie nikt i nic nie mówił ani pisał o tym zespole. Publiczność muzyczna pogodziła się już z myślą o rozpadzie grupy, toteż wielkim zasko-

Fakt, że Nalepa poszerzył skład gitarowego dotąd zespołu o instrumenty klawiszowe zmusza słuchacza do szczególnie wnikliwego przesłuchania płyty. Osiem utworów to dostatecznie dużo, aby się przekonać, iż Tadeusz Nalepa

z godną podziwu konsekwencją dobiera muzyków jeśli nie gorszych, to i nie lepszych od siebie. Co bowiem proponuje „prorok podziemia i polskiego bluesa”? Wzrost wszystkim orakuje tu samego bluesa. Najnowsza muzyka Nalepy w ogóle nie daje się określić. Oprócz dalekich echa ostatniego bluesa spotykamy tu rytmy rockowe i elementy ballady. Nad tym wszystkim dominuje jednak „styl” państwa N., którego nacechną przesłanką programową jest wprowadzenie nastroju nudy, chaosu i beznamiętności. W nagraniach udział wzięli: Bogdan Lewandowski — organy, fortepian elektryczny Fendera (poprzednio „Nowa Grupa” Jacka Lecha), Zdzisław Wypych — gitara basowa (niegdyś „Grupa Dominika”), Andrzej Łyżek — perkusja (wędrujący muzyk „Romualda i Romana”, „Ego”, „Orkiestra Aleksandra” i „Koman Bandu”) i wspomniana już para solistów. Na dobrą sprawę można by zrobić płytę przynajmniej o dwie klasy lepszą, pod jednym wszakże warunkiem: dać tym ludziom pograć.

Sześć lat temu staliśmy w Domu Kultury Kolejarza w Lublinie grę Tadeusza Nalepy. Każdy utwór zaczynał się od słynnej solówki gitarowej „Animalsów” z „Domu wznoszącego słońca”, a sam mistrz grał jak na ironię tylko na dwóch strunach, nie znając wszystkich akordów gitary. Po sześciu latach, jakie od tamtego pamiętnego faktu upłynęły „artysta-wirtuoz” dorobił się wspaniałej gitary Gibsona Les Paula SG, ale grać się na niej nie nauczył, czego znakomitym przykładem jest ostatni krążek.

Co mamy do zarzucenia albumowi „NOL”? Prawie wszystko, bo też prawie wszystko jest w nim złe: drętwo i bez polotu zagrane drętwe kompozycje o belkotliwych tekstach, Mira śpiewająca głosem sześćdziesięcioletniej starszki, brak choćby jednego utworu z cieniem szansy na przebój, wreszcie odstraszająca okładka, zrobiona, podobnie jak płyta, na kolanie.

Nie chcemy być źle zrozumiani. Nie sugerujemy szefowi „Breakoutów” schodzenia na łatwiznę. Wszak na zachodzie szlagierami stają się w równym stopniu wpadające w ucho piosenki, co i zdolne zachwycić słuchacza maestrią pomysłu i wykonania. Nalepa chciałby oczywiście wejść do tej drugiej grupy obok „Pink Floyd”, „Yes” czy „Genesis”. Niestety, „NOL” został dokładnie „zarznięty” przez twórców i ma szansę już tylko na przecenę.

Nie tak dawno krytyka muzyczna nazwała Tadeusza Nalepę polskim Mayallem z racji wykonywanej muzyki i częstej wymiany instrumentalistów. Jakże jednak karkołomne to porównanie! Każdy muzyk, który przejdzie szkołę u Mayalla, rozstając się z mistrzem jest po prostu o kilka klas lepszy. Przykłady można by mnożyć, ale wy-

mieśmy tylko Erica Claptona, Micka Taylora, Jonny'ego Rymonda, czy Don Sugar „Cane” Harrisa. Tymczasem grupa „Breakout”, okazuje się być lepszym od jej kierownika. A przecież przez ten zespół przewinęła się istna piejada autentycznie utalentowanych instrumentalistów, jak choćby Hajdasz, Muzoi, Skrzek, Kozakiewicz. Wszyscy oni musieli opuścić zespół, bo stanowili konkurencję dla Nalepy. W tej grupie panuje bowiem od lat reguła jednego gwiazdora.

Tezy powyższe znalazły pełne potwierdzenie na koncercie „Breakoutów”, który odbył się podczas niedawnego Pop Session. To co usłyszeliśmy w Sopocie było jednym z największych nieporozumień tej skądinąd ciekawej imprezy. Tadeusz Nalepa jak zwykle wystąpił w roli solisty i postawił na full, więc kilkusetwątowa aparatura dostawnie ogłaszała ogromną przecież Operę Lesną wielką ilością decybeli. Tylko że poza decybelami nie było tam muzyki. A trzeba powiedzieć, że instrumenty wyraźnie nie stroiły, zagłuszone skutecznie gitarą, a śpiewająca przez zaciśnięte zęby para solistów w ogóle była nieczytelna. Karkołomnym pomysłem Nalepy było wprowadzenie na scenę swej żony Miry, która, jak sam wyznał przed koncertem, czuła się trochę niepewnie, bo nie śpiewała od dwóch lat. Uważamy, iż śpiewać, a przynajmniej na estradzie przed tysiącami słuchaczy, nie powinna ona wcale, gdyż poziom jaki prezentuje jest zgola amatorski. Pisało się o tym przed siedmiu laty, kiedy ukazała się płyta „Breakout 70 A”, ale Nalepa niepomny wytkniętą z uporem maniaka lansował upadłą sztukę wokalną Miry. Wielka szkoda, gdyż wykonawczyni ponad wszelką wątpliwość śpiewać w ogóle nie umie, a dykcję ma wręcz fatalną. Na koncercie w Sopocie, który miał być swoistym „come back again” grupy „Breakout” po długiej nieobecności w życiu estradowym, Mira wypadła żenująco i tragicznie. Nikt chyba z kilkutyśnej publiczności nie był w stanie zrozumieć choć jednego słowa śpiewającej gwiazdy, a mimo to Mira dzielnie zniosła koncert do końca, oczekując bisów. Bisów jednak zabrakło i słusznie. Kończy się era mitów i legend. Słuchacze nie dają się już nabierać na tandetę, nawet wtedy, kiedy podaje ją mocno okrzykiem niegdysz zespół.

Podsumowując można doradzić Tadeuszowi Nalepie, aby zaczął się po prostu uczyć, jeżeli poważnie myśli o utrzymaniu się na muzycznym rynku. Jak wykazuje praktyka, firma „Breakout” bardzo szybko się rozmagnesowuje i przyciąga już tylko kpięskich szarpidrutów. „Polskie Nagrania” powinny zaś skorygować nieco proponowany repertuar. Najwyższa pora zrozumieć, że na dyski w rodzaju „NOL” po prostu szkoda cennej masy.

Poranek przedświąteczny

Dokończenie ze str. 11

do niego nie tylko w pole latała, co tam było nikt nie wie, aż tu raz przylatuje do siostry, bo tam ma kąt i płacze, drze się:

— Rataj siostrze, Przeździk mnie pobil.

— A jak cię bił?

— Przewrócił mnie, ukląkł mi na nogach i tak gniotł, tak gniotł, omal nie uduśił.

— I chłopca za frak wzięli, że nie dosyć, że ofiara losu, to jeszcze ją skrzywdził i trzy lata odsiedział jak za zbroję, a może nie był winien.

— Kto tam wie, kto winien, sama leżała, a potem lament.

— Do mnie tyż zaczęła przychodzić i to tak upatrywała, jak tylko mojej starej nie było w domu. Jak zona była, to nigdy nie przyszła, a jak tylko wyszła, to ta już jest.

— Długo tak chodziła?

— Chyba z pół roku.

— No to widocznie miała na pana dużą ochotę — stwierdziła Adela.

— Pewno i miała — zauważył skromnie woźny — chłop jestem jeszcze do rzeczy, aż tu raz sąsiadka mówi:

— Oj, panie Gadomski, kłopotu sobie pan narobisz jak Przeździk,

przegnąj pan to ścierwo. Kiedyś przyszła, ałem sobie przypomniał przestroję i spralem cholere lejcami. Uciekla i poszła do mojej starej z płaczem, że ją zbił. Zona zapytała jak, a kiedy powiedziała czym ją pralem, to się tylko ośmiała i ze sklepu wypchała.

— Mądry z pana człowiek — pochwalili panie — a i z żony rozsądna kobieta, że nie dała się zwiesić takiej ladaco.

— Wesółych świąt, kobietki — uniósł się woźny z fotela — lecę bo się zasiedzialem, a za poczęstunek dziękuję.

O poczcie zapominał, zresztą urzędniczką były już myślami przy świątecznym stole i nie dopominały się o tak prozaiczną i nudną rzecz jak korespondencja biurowa.

— Ale zleciało — popatrzyły na zegarki. — To już dwunasta?

— Zwalniam was wcześniej — zezwoliła kierowniczka — sama też mam robotę w domu, co tu po nas.

— Zbierać się mięgiem, bo się nasza kochana pani Dzidzia rozmyśli — podchlebiały swojej szefowej, chwytając palta i nakładając byle jak kapelusze.

Za chwilę pokój opustoszał zupełnie. Tylko zapomniana torba z korespondencją i resztki śniadania przypominały o minionym pracownym dniu w urzędzie gminy w S.

30 LAT temu, jesienią roku 1946 lub wiosną 1947, kupiłem w kiosku dworcowym z prasą i papierosami, firmo-

wanym znakiem wydawniczym „Czytelnika”, żółtą broszurkę zatytułowaną „Polskie skrzypce i polscy skrzypkowie”. Zainteresowanie tematem, a właściwie na razie jedną postacią Henrykiem Wieniawskim — wywołała zapamiętana audycja radiowa o jego „Legendzie”, w której podkreślono romansowy wątek, podobno towarzyszący powstaniu utworu. Z ciekawością przeczytałem kilkadziesiąt wierszy o artyście, który — co podkreślano na wstępie — jest idealnym uosobieniem polskiej szkoły skrzypcowej, jej fantazji i polotu, a potem całą resztę 18-stronicowego tekstu, spotykając się na zakończenie z nazwiskami żyjących twórców i wykonawców. Przypisy, w szczególności słowniczek, pomogły zrozumieć niektóre „uczone” terminy, a wiadomość z trzeciej strony okładki, że mam w ręku jedną z broszur cyklu wydawniczego „Muzyka i muzycy polscy”, który z kolei miał być częścią składową czegoś w rodzaju encyklopedycznego kręgu wiedzy, obiecywała uczniowi gimnazjum ogólnokształcącego, żądnemu wiadomości o wszystkim wiele dalszych przeczytanych chwil lektury. Nazwisko autora — Józef Reiss — nie było jeszcze autorytetem.

Nie dziwił kiepski papier, nie denerwowały zamazane ilustracje i zniekształcone grubym rastrem w druku podobizny prominentów polskiej wiolonistyki, bo czas powojenny nakazywał wyrozumiałość wobec znacznie ważniejszych niedostatków. Zresztą nie miałem do czego porównywać, bo byłem u po-

Dawna przygoda

czątków swej autobiografii czytelniczki i ze szczególną pokorą brałem do ręki każdą książkę popularnonaukową.

Po wzięciu w księgarni okazało się, że wydano już wiele innych broszur w podobnych okładkach, a gdy dostałem bezpłatny Katalog całej imprezy wydawniczej pod tytułem „Popularyzacja wiedzy” z wykazem stu kilkudziesięciu cykli złożonych w 23 projektowanych działach — poczułem się jak spragniony na brzegu jeziora. Samo zapoznanie się ze schematem przedsięwzięcia odkrywało nieznaną dotychczas zagadnienie, które należało przynajmniej dotknąć, aby móc u końca edukacji przynajmniej do miana człowieka czytelnego. Rozpoczęła się ogromna przygoda czytelniczka młodego człowieka, która na zewnątrz streszczała się w zachłannym kupowaniu całych cykli, albo wybranych broszur w kolorowych kartonowych okładkach ze znajomym nadrukiem: „Wiedza Powszechna. Wydawnictwo popularnonaukowe” a trwała jeszcze po maturze, na uniwersytecie aż do końca tej starej, jak dzisiaj moza-

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 100 LATY

Brak rutyny sprawia, że dorożkarze nasi nie zawieszają numerów na plecach, że powozy nie wszystkie są ponumerowane, zaś na latarniach o ile te są przy powozach także nie powypisywano

numerów, trudno więc w danych wypadkach wiedzieć czy powóz jest publiczny czy też prywatny. Trzeba na tym sami przedsiębiorcy dorożkarze zwłaszcza bowiem przyjeżdżający do Lublina nie wiedzą niejednokrotnie czy mogą użyć powozu nie należąc do cech wsielących nowom publicznym a i publiczność tracił będać porobiona trojka lokomoty, który wprowadził jest, się w nieokreślonej formie.

W dniu 29 b. m. o godzinie 9 minut 45 wieczór w stronie zachodniej naszego horyzontu spadł meteor wielkości do 12 cali średnicy który w połowie swego biegu rozpadł się w większą połowę spadła natomiast mniejsza zaś za nią w kształcie krogul Jezuru Z początku światło było czerwone następnie białe, po chwili niebieskawe. Siła światła była tak wielka że przycięła księżyc świecący w pełnym blasku.

„Kurier Lubelski”

PRZED 50 LATY

Wśród wielu przykładów naszej przysłowiowej niezręczności mnożą się coraz częściej wypadki tak drastyczne, że nie

sposób pominąć ich milczeniem. Zdziwienie ogarnia każdego człowieka przechodzącego obok młyna woskowego na Wrota, który stoi nieczynny. Jak wiadomo przeprowadzono całą budowę z dużym nakładem pracy i energii. Młyn kosztował parę milionów złotych. Przed rokiem młyn stał gotowy. Zdarzyłoby się, że nie ma przeszkód do rozpoczęcia przemiału byłby jednak inacz. Tymczasem przemiał dla woska robią różne błędniki prywatnie zarabiając na tym wcale nieźle. Jakże to właściwie przywrócić uniemożliwia uruchomienie młyna woskowego? Bo młyn nie posiada siły pędnej.

Ta odpowiedź jednak nie wyczerpuje zażądania. Jeżeli można się było zdobyć na paromilionowy koszt budowy, to czemuż nie ma sumy znacznie mniejszej dla ustawienia przy młynie dynamo? Przecież koszt zainstalowania dynamo matryny jest w porównaniu z sumami wydanymi poprzednio prostopo minimalny.

„Ziemia Lubelska”

Dowiedziałem się, iż na skutek starań Lubelskiego Towarzystwa Higienicznego przybywa do Lublina wystawa przeciwalkoholowa, zorganizowana przez Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem

„Trzeźwość”. Ciekawa ta i ze wzrocz miar godna obejrzenia wystawa składa się z licznych tabeli statystycznych polskich i zagranicznych, rysów obrazów oraz kompletu preparatów anatomicznych. Oprócz tego posiada liczne przyczynki do wykładów przeciwalkoholowych.

Pisałmmy jako o świadectwach kultury szerszych mas ludności o nieporządkach i nieczystości miast ogólnie przy automacie telefonicznym na poczcie Lublin. Dziś mamy do zanotowania drugi podobny fakt. Oto automat umieszczony w westybulu dworca kolejowego sprzedający tzw. „peronówki” — został zepsuty i znowu liczni zwłaszcza obecnie w czasie letnim — kumulacy narabeni są na długie wyczekiwanie w okonku przy kasie. Jak nas poinformowano przyczyną tego jest nieumiejętność obchodzenia się, a także figle nabliżności które zamiast monet wrzucała guziki blaszki, stare monety. Jeżeli tak będzie to dziwni niekulturalności jednocyk zostaniemy pozbawieni najprymitywniejszych udogodnień.

„Głos Lubelski”

Wybrała: Anna Orzechowska

MITKO VACEW



Bulgar Mitko Vacev wystawiał niedawno swoje prace malarskie w salonie ekspozycyjnym Wojewódzkiego Domu Kultury w Białej Podlaskiej (którym sensownie kieruje Edward Mikołajczuk, też malarz i grafik). Status człowieka współczesnego — oto, mówiąc najogólniej, podstawowa problematyka

twórczości Vacewa, „rozpisana” na dużych, figuralnych płótnach, w których postać ludzka ujmowana jest w zaskakujących skrótach perspektywicznych. Bułgarski artysta jest poza tym autorem dowcipnych rysunków, z których jeden reprodukuje na str. 16.

Debreczyńskie skarby mało znane

Zdzisław Czaplinski

NAWET chyba nie wszyscy starzy mieszkańcy wojewódzkiego węgierskiego miasta Debreczyna wiedzą, że miejscowa biblioteka Seminarium Reformackiego przechowuje wiele bogactw o światowej wprost sławie. Unikalne dzieła, kodeksy, atlasy, stare pomoce naukowe, rękopisy stanowią tam elementy stale eksponowanej wystawy. Skarby te gromadzone były przez ponad cztery wieki.

Nikt dokładnie nie zna daty powstania tej wielkiej i tak cennej dzisiaj biblioteki. Prawdopodobnie założona została wraz z powołaniem samego seminarium, a więc gdzieś w połowie XVI wieku. Pierwszy regulamin biblioteki ustanowił magistrat w 1702 roku — przy obdarowaniu placówki przez ówczesny miasto zestawem cennych książek. Wówczas to ustalono zasady korzystania ze zbioru.

Od 1744 roku po dzień dzisiejszy placówka ta jest biblioteką publiczną — niewyczerpanym wprost źródłem badań naukowych. Zbiory książek przekraczają tu pół miliona tomów. Nie licząc tomów jest jednak w tym przypadku decydująca. Osobliwość debreczyńskiej biblioteki polega na zasadzie ich długoletniego gromadzenia.

Najpoważniejszą część zbiorów debreczyńskich stanowią różnego rodzaju darowizny od możnych tego świata, naukowców, duchownych i samych uczniów seminarium. Przyjęta tu była na przykład niepisana zasada, w myśl której każdy uczeń wyjeżdżający na nauki lub praktyki za granicę uważał za swój obowiązek przesłać do Wielkiej Biblioteki przynajmniej jedną książkę.

W ten sposób do Debreczyna trafiały tysiące dzieł z całego kraju, a także z różnych zakątków Europy i świata. Nadechwały więc dary z Krakowa i Utrechtu, przesyłali je profesorowie i pisarze, nigdy nie zapomnieli o przyjacieleńskich dedykacjach. Również władze miasta i samo seminarium dokonywały zakupów eksponatów z własnych środków.

Do najstarszych dzieł pisanych należą napisy z okresu Ramzesa III (1240—1208 p.n.e.) oryginalny listu z okresu Imperium Rzymskiego oraz liczne oryginały w języku starogreckim. Ich pochodzenie — a ściślej mówiąc droga, jaką dotarły do Debreczyna — najczęściej nie są znane, ponieważ nie pozostało śladu w katalogach i zapisach biblioteki za okres poprzedzający 1706 rok. Podobnie rzecz się ma z kodeksami z okresu poprzedzającego opanowanie techniki drukarskiej. Widocznie nikt z ówczesnych potomnych nie przewidywał, że kiedyś debreczyńska biblioteka będzie tak bogata i sławna.

Jednym z cennych eksponatów jest zapis na dwustronicowej cienkiej błonie utworu muzycznego znakami poprzedzającymi nuty, pochodzący prawdopodobnie z XI wieku. Jest to muzyka do sentencji biblijnych. Poza kodeksami w języku łacińskim i niemieckim

biblioteka przechowuje dwa inne kodeksy zapisane cyrylicą.

Bardzo ciekawy jest zbiór unikatów, do których zalicza się szereg listów opatrzonych podpisem i pieczęciami węgierskich królów i wodzów. Wśród nich odezwa podnieszona przez księcia Ferencza Rakocznego II, wzywająca do podejmowania walki o wyzwolenie Węgier spod panowania Habsburgów, datowana 29 sierpnia 1703 roku.

Spśród cennych dzieł okresu pierwszego druku znajduje się Nowy Testament Selwestra Janosa z 1514 roku oraz „De Christo” Imre (Ozorava) którą wydrukowano w Krakowie w latach 1535 i 1546. Warto na marginesie wspomnieć, że dzieło to należy do najstarszych drukowanych w języku węgierskim.

Prawdziwe bogactwo stanowi zbiór atlasów i map. Atlas Ptolemeusza malowany ręcznie, to jedyny tego typu egzemplarz na świecie! Ponoć w latach trzydziestych British Museum oferowało zań wielki majątek ziemski, ale debreczyńskie władze nie wyraziły zgody na sprzedaż. Jest to obecnie najbardziej strzeżony eksponat biblioteki.

Niecodzienna wartość przedstawia też Atlas Blaema Villa (1650—1652). Seminarium w Debreczynie posiada także w swoich zbiorach najstarszy chyba globus z napisami w języku węgierskim — jest to prawdopodobnie jedyny tego typu okaz na Węgrzech. Jego zdobnictwo wykonali sławni i miedziorytów debreczyńscy uczniowie. Kolekcję tę godnie uzupełniają trzy oryginalne egzemplarze Dürera z 1528 roku.

O szerokiej skali tematycznej zbiorów biblioteki świadczy również fakt, że placówka ta, działająca pod nadzorem władz kościelnych, posiada kilkadziesiąt wydawnictw z okresu Węgierskiej Republiki Rad. Plakaty broszury Lenina w języku węgierskim, wezwania do wstępowania w szeregi Armii Czerwonej i liczne książki z tego okresu uzupełniają oddzielny pawilon w bibliotece.

Podobnie cenne są również wydawnictwa z pierwszych powojennych lat, a więc z okresu, kiedy Debreczyn był przez krótki okres stolicą Węgier, a w salach seminarium obradowało Tymczasowe Zgromadzenie Narodowe, by położyć fundamenty pod nowy polityczny kształt kraju. Również w tych salach przed stu laty Lajos Kossuth ogłosił detronizację Habsburgów.

Unikalne eksponaty z Debreczyna wystawione są dla publiczności częściowo w Muzeum Historii Kościoła, częściowo zaś w Muzeum Seminarium Reformackiego. Jeżeli więc kiedys polskiego turystę los zawiezie do Debreczyna, gorąco polecam odwiedzenie biblioteki i obu wspomnianych muzeów.

z Wiedzą Powszechną

Andrzej Piwowarczyk

powiedzieć, „Wiedzy Powszechnej”, funkcjonującej w ramach koncernu „Czytelnika”.

Była to produkcja obfita, przekraczająca właściwie możliwości konsumpcyjne przeciętnego czytelnika, zwłaszcza niedoświadczonego, nie uznającego konieczności rygorystycznej selekcji, co z jednej strony skończyło się zapelnieniem chyba całego metra bieżącego półki w domowej bibliotece kilkoma setkami broszur kupowanych najpierw z „kieszonkowego” ucznia, a potem studenckiego stypendium, z drugiej jednak i tym, że wiele z nich pozostało nieprzeżytych. Na pewno nie była to wina wydawców i autorów, a ta zachłanność którą widziałem także u niektórych kolegów, czyż nie przypomina żywcem dzisiejszego szukania w księgarniach i kupowania na pniu wszystkich wydawnictw encyklopedycznych? Dawało to też przedsmak dzisiejszego zjawiska serii wydawniczych, któ-

re w znacznej mierze zwalniają klientów księgarń do wyboru i oceny, jako że oznaczenie graficzne serii, jak np. „Omega” czy „Biblioteka Problemów”, sygnalizuje zawsze jednakowo przyzwoity poziom naukowy i dostępności także dla laików.

Całość produkcji do czasu wyodrębnienia „Wiedzy Powszechnej” w osobną, niezależną już od „Czytelnika” instytucję wydawniczą, co stało się w roku 1952, przekroczyła chyba 800 pozycji a nakłady poszczególnych zeszytów początkowo optymistycznie ustalone na 40 000 zniżono potem do 10 000 egzemplarzy. Pierwotnie założony program nawet częściowo nie został zrealizowany. Udało się sfinalizować tylko cykle, które, jak się wydaje, zostały napisane w całości zaraz na początku „Wiedzy”: „Muzyka i muzycy polscy” — pióra Reissa, Stromengera, Jachimieckiego; „Przechadzki ateńskie”, i „Wiadomości z psychologii” — pióra Władysława Witwickiego; „Prasłowiańszczyzna i Polska pierwotna” — pióra Kozłowskiego i Rajewskiego. Niektórych z zapowiadanych cykli w ogóle nie rozpoczęto.

Cały ten niebagatelny dorobek, łącznie z programem tylko częściowo zrealizowanym, pozostaje dokumentem ambitnej działalności oświatowo-wydawniczej godnym przypomnienia tym bardziej że obok szkoły w znacznej mierze przewyżniał się do kształcenia pokoleń, które zarzą po wojnie brały się do książki. Dzisiaj jeszcze książeczki te cieszą oko i rękę czytelnika 40—50 letniego spotykającego czasem w bibliotece znajomą broszurę z oficyny, której 30-letnie obchodzimy.

Kultura 1977

FILM

W ciągu ostatniego roku polska kinematografia wyprodukowała 23 fabularnych filmów długometrażowych, w tym 12 o tematyce współczesnej. Charakterystyczne, że było 7 debiutów, co nie świadczy o latach poprzednich. Rozumując, że nie sprzeczają się one od siebie od rozrywki (tylko „Wojna i pokój”), z drugiej od publiczności, pozostawiając sobie to, co można by nazwać pogłębioną, reżerską światopoglądową i artystyczną. Czy taki wybór jest najbardziej słuszny — to temat do dyskusji. Warto też w gronie filmowców zastanowić się nad tym, że coraz częściej przekraczane są koszty produkcji.

Od 1 listopada nasza telewizja będzie emitować 13-odcinkowy serial radziecki „Droga przez mękę” reżyserii Wasyla Ordynskiego, oparty na cyklu powieściowym A. Tolstoj. Nadawany już cykl „Tawna czasa — prawda ekranu” trwać będzie do końca listopada. W niedziele 5 i 13 listopada w programie drugim dwa całonocne bloki filmowe. Pierwszy będzie poświęcony tradycjom rewolucyjnym, drugi dni dzisiejszemu Kraju Rad. Od października nowy cykl „Latarnia czarnoksiężka” — dwa razy w miesiącu przez kilkanaście miesięcy, a obejmujący popularne wykłady z zagadnień historii i estetyki filmowej. Po zakończeniu filmów z Marylin Monroe — kilkanaście filmów z Brigitte Bardot, poczynając od słynnego dzieła Vaalima „I Bóg stworzył kobiety...”

Nowym gwiazdorem Hollywood, który podobno każdemu filmowemu gwarantuje sukces, przynajmniej finansowy, jest Robert Redford. Pochodzi z bogatej rodziny amerykańskiej, jednak w pewnej chwili rzucił studia prawnicze i w Europie malował obrazy, których sprzedaż z trudem pokrywała jego skromne potrzeby. Debiutuje w filmie „Założenie” i z miejsca staje się sławny. Po niedawnym jego filmie o aferze Watergate jeden z publicystów napisał, że gdyby Redford wysunął swoją kandydaturę na prezydenta USA, to na pewno zostałby wybrany na to stanowisko.

LITERATURA

Zgodnie z tradycją w warszawskiej Starej Prochowni rozpoczęła się Warszawska Jesień Poezji, szosta z kolei. Większość imprez odbędzie się w stolicy, ale także w różnych miejscowościach województw stołecznego, lubelskiego, łomżyńskiego, płockiego i siedleckiego — w sumie 60 spotkań z poetami polskimi i zagranicznymi z kilkunastu krajów. Jedną z imprez w Starej Prochowni będzie poświęcona twórczości Bolesława Leśmiana w związku z 40 rocznicą jego śmierci, a inną Konstantemu I. Gałczyńskiemu. W sumie w tym festiwalu poezji weźmie udział ponad 160 twórców.

Jerry Wawrzak, redaktor naczelny łódzkiej „Odgłosów” i prezes łódzkiego oddziału ZLP, złożył w Wydawnictwie Łódzkiem powieść „Węjście przez sekretariat” — powieść społeczno-polityczna z lat 1960—1970. Poprzednia jego powieść

„Linda” ukazała się w NRD i w ZSRR. Na warszawie dramat współczesny „Zabi koncert” oraz scenariusz telewizyjny „Millionerzy”.

Najpopularniejszym pisarzem polskiego pochodzenia w USA jest Antoni Gronowicz, niedługo poeta, obecnie powieściopisarz i dramaturg. Ostatnio przebywał w Polsce. Ukończył właśnie sztukę „Hobos” — owoc przemyśleń i refleksji na temat walki o pokój. Pokazuje konflikt pomiędzy naukowcami, lotnikami i przedstawicielami wielkiego kapitału na tle spórów o użycie bomby neutronowej.

W dniach 24—28 października odbędą się w naszym kraju Dni Literatury Radzieckiej. Przyjedzie w tym czasie 40-osobowa delegacja Związku Pisarzy ZSRR. Jej członkowie spotkają się z polskimi literatami, tłumaczami i czytelnikami w wielu miastach, także z zalogami kilku dużych zakładów pracy. W wielu miejscowościach odbędą się wystawy książek autorów radzieckich a ekspozycja warszawska obejmie aż 2500 pozycji. Dom Książki ogłosił konkurs na najlepiej urządzoną witrynę księgarską poświęconą książce radzieckiej.

IPINIE

Trzeba przyznać, że zbyt często zapomina się, że o ile fałszywostki totalitaryzm okazał się w końcu, mimo potężnego aparatu upowszechniania, słabszy od opierających mu się sił demokratycznych, to jednak zwycięstwo nad nim zostało osiągnięte również kosztem pewnej deprawacji kultury i myślenia. Nie ma chyba bardziej fałszywej tezy niż przekonanie, że wojna uszlachetnia (...). Czym jest wojna, wiemy nie tylko z heroicznej jej teatralizacji, ale i z opowiadań Borowskiego, Białośzewskego czy z pracy Anny Pawełczykówny. Nawet „Iliada” nie powinna być warta spalenia Troi! (Adam Krzemiński i Marian Turcki — „Polityka” nr 38).

„Iżby bowiem mogło istnieć (i działać) środowisko literackie, musiały istnieć instytucje, które je-

go działania będą wspierać i na którego potrzeby będzie ono pracować. Jeszcze w dwudziestolecie było odmiennie, po wojnie jednak wszelkie próby tworzenia instytucji literackich w ośrodkach powojennej województwa kończyły się niepowodzeniem”. (Andrzej K. Waszkiewicz — „Fakty 77” nr 38).

Sztuka literacka, a już na pewno sztuka narracyjna, epika poetycka, powieść, opowiadanie — to wszystko, co się rodzi z potrzeby odtworzenia życia, świata, człowieka wśród innych ludzi — jest przede wszystkim tworem postaci. Postaci, charakterów, sylwetek, kreacji psychicznych, których źródłem może być obserwacja albo introspekcja, rzeczywistość empiryczna albo wyobraźnia, zawsze wszakże mające na uwadze to jedno nade wszystko: urzeczywistnienie takiej wizji człowieka, takiej wizji ludzi, jak lub jacy uznani są przez pisarza za reprezentantów człowieczeństwa, wyrazieli spraw uznawanych za istotne, nosicieli problemów, obchodzących jego samego, wartości, jakie zaprobował, konfliktów, jakie uważa za żywe”. (Włodzisław Maciąg — „Życie Literackie” nr 38).

TEATR

W zakończonym niedawno sezonie teatralnym 1976/77 w 59 teatrach dramatycznych wystawiono 358 premier, wśród nich 91 premier polskich sztuk współczesnych 46 autorów. Najczęściej (9 premier) wystawiano sztuki Redlińskiego, następnie (po 6 premier) Różewicza i Gombrowicza oraz (5 premier) debiutującego Ryszarda Łatko („Tato, tato sprawa się rypla”). Premierami polskimi było 25. Wśród klasyków czołowe miejsce zajął Fredro — 12 premier. Ogółem wystawiono 70 premier (55 sztuk) z naszej klasyki. Klasyka obca to 54 sztuki, a współczesna dramaturgia zachodnia 41. Wystawiono wreszcie 58 premier sztuk autorów radzieckich i innych krajów socjalistycznych. W sezonie tym powstały dwie nowe placówki teatralne: w Legnicy i Radomiu.

Kariery — tak, tylko za jaką cenę! Tak można streścić najkrócej sztukę Siergieja Michajłowa „Piana” komedii wystawionej niedawno w Moskwie. Bohaterem jest powaźny i sympatyczny — z pozoru — uczeń, który jednak jest człowiekiem o dwóch twarzach. Karierę zawdzięcza nie tyle pracy co różnego rodzaju intrygom, machinacjom, a nawet przekupstwu.

WYZNANIA

„Gdybym, usiadłszy za biurkiem, zaczął myśleć o sukcesie, to wtedy straciłbym grunt pod nogami. W ogóle przy słowie sukces postawiłbym cudzy dół (...). Urodziłem się w Anglii, a po wojnie wyjechałem do Kanady i jestem obywatelem tego kraju. Opinia o mnie jako o pisarzu amerykańskim opiera się widocznie na tym, że piszę głównie o Stanach Zjednoczonych Krajach ten to rozległy teren do różnorakich obserwacji”. (Arthur Hailey)

„W mojej pracy największą rolę odgrywa zmysł powonienia. Całe moje dzieciństwo zapamiętałem w pamięci dzięki zapachom; te przyswajam sobie znacznie łatwiej niż dźwięki. Wydaje mi się, że powonienie jest zupełnie niedozwolone dla poety”. (Gabriel Garcia Marquez — pisarz kolumbijski)

„Mój komediowy życiorys został mi narzucony przez los, reżyserów i publiczność. Podobno nawet kiedy umieram na scenie, to publiczność umiera ze śmiechu. Typ granych postaci nie zawsze pokrywa się z moimi zainteresowaniami (...). Chciałbym jednak od czasu do czasu sprawdzić się w dramacie”. (Kazimierz Brusztewicz)

Nienawidzę samochodów. Przejechałem dość kilometrów w czolgu i mam motocykl, który po uszy. Zakłamanie nie znoszę, weekendów nie uznaję, za to lubię wilegiary. Cenię sobie książki Monsaratta i niektóre fragmenty Starego Testamentu”. (Jacek Stwora)

Ekran Wiedź

„Powrót różowej pantery”

KIEDY trzynaste lat temu amerykański reżyser Blake Edwards nakręcił sensacyjno-kryminalną komedię „Różowa pantera”, film ten nie tylko podbił za jednym zamachem szeroką widownię ale spotkał się również z zyciowym przyjęciem krytyki.

Znany już wcześniej ze „Śniadania u Tiffany'ego” i „Próby terroru”, czterdziestoletni przedstawiciel komercyjnego kina amerykańskiego zadziwił lekkością i pomysłowością, za jaką prowadził na ekranie szalony posąg swoich bohaterów za porywaczami bezcennego diamentu „Różowa Pantera”. Było tutaj wszystko czego należało się spodziewać po dobrym filmie sensacyjnym: skomplikowana intryga, atmosfera nieustannego napięcia przy błyskawicznie zmieniających się sytuacjach, dobre sceny kaskaderskie oraz piękne kobiety. Przede wszystkim zaś zadziwiła wyrównana, skrzęta się błyskotliwością gra trójki głównych bohaterów: Davida Nivena, stojącej właśnie u szczy-

tu sławy Claudii Cardinale oraz Petera Sellersa w roli niezdarne inspektora francuskiej policji, Clouseau.

Ale nie tylko to stanowiło o wartości „Różowej pantery”. Dzięki postaci inspektora Clouseau, „Różowa pantera” różniła się od mniej lub bardziej udanych dzieł swojego gatunku: była nie tylko filmem sensacyjnym utrzymanym w konwencji komediowej, nie tylko parodią gatunku filmowego, ale zarazem parodią angielskiego wyobrażenia o typowym Francuzie. Myślę zresztą, że była czymś więcej jeszcze (choć autorzy filmu nigdy nie na ten temat nie wspominali): swobodą odgrywką Anglików za francuskie filmy o Mr. Thompsone. O mentalności i filozofii życiowej sąsiadów z Kanatu La Manche, w których doskonałą postacią Francuzki usiłującej „zrobić człowieka” z męża-Anglika, stworzyła niezapomniana Martine Carol.

Black Edwards zrobił następnie „Wielki wysięg”, kostiumowy film przygodowy opowiadający o perypetiach uczestników wysięgu samochodowego z początku stulecia, na trasie biegnącej przez pół Europy. Tym filmem potwierdził jeszcze swoje umiejętności operowania szerokim ekranem i kolorem, organizowania przestrzeni, utrzymania akcji w stałym napięciu. Sukces „Różowej pantery” zachęcił go do kontynuowania przygód porywaczy i tropiciele słynnego diamentu. Oglądaliśmy z tej serii „Strzał w ciemności”, a teraz mamy z kolei możliwość śledzić „Powrót różowej pantery”.

Tym razem inspektor Clouseau tropi porywacza diamentu skradzionego ze skarba bliskowschodniego państwa Lughash, a podejrzani zesrodkowują się na osobie Sir Charlesa Littona znanego pod pseudonimem „Widmo”, (Christopher Plummer), dzielnym wlamywaczem który jednakowoż porzucił od pewnego czasu przestępczy proceder i żyje spokojnie i dostatnio z tego co ukradł. Nawrocony



Peter Sellers jako inspektor Clouseau.

wlamywacz, w strachu o swoją skórę, zaczyna sam na własną rękę prowadzić dochodzenie. W ten sposób film rozbija się na dwa, niemal odrębne wątki: jeden dotyczący przygód „Widma” i drugi ukazujący liczne perypetie niezdarne i w gruncie rzeczy głupkowatego inspektora Clouseau w „Różowej panterze”. Inspektor był postacią w zasadzie równorzędną, nie jednak występującą w tie głównych bohaterów: Davida Nivena i Claudii Cardinale. W „Powrocie różowej pantery” ooojga tych aktorów zabrakło, a Clouseau staje się postacią pierwszoplanową. W rezultacie cały film jest zrobiony „pod” Petera Sellersa, którego wielki talent komediowy i parodystyczny miał stanowić o sukcesie filmu. I aktor nie zawiodł. Natomiast za widok reżyser. Po interesujących pierwszych scenach, przypominających niemal robotę Hitchcocka, napięcie gśnie, akcja rozpada się na szereg scenek, ukazujących wprawdzie aktorskie możliwości Petera Sellersa, ale zarazem świadczących o braku pomysłów reżyserskich, o powtarzaniu ogranych gagów i sytuacji komediowych znanych z innych filmów — aż do nudzenia. Niektórzy krytycy usiłują twierdzić, że smak „Powrotu różowej pantery” polega na tym, iż Edwards bawi się tutaj, wprowadzając przetworzone przez siebie odpowiednio „cytaty” z klasycznych filmów sensacyjnych, takich jak „Casablanca” czy „Złodziej w hotelu”. Możliwe. W każdym razie mnie to jakoś nie przekonuje, a z kina wyszedłem przede wszystkim zdruzony i rozczarowany. Nie udało się ten film Blake Edwardowi i nie wydaje mi się, aby było konieczne sprowadzanie jego następnego filmu z tej serii: „The Pink Panther Strikes Again” — „Różowa pantera znowu uderza”. Takiego ponownego uderzenia moglibyśmy już nie przetrzymać.

MD

Noty i notki

MNIEJ LUB WIĘCEJ SZCZĘŚLIWIE! mienno nam lato, a w Lublinie — wbrew oficjalnym zapowiedziom z ratusza — nie powrócono do „eksperymentu” wstrzymania ruchu kołowego na Krakowskim Przedmieściu. No bo rzeczywiście rzekomy eksperyment okazał się do chrzanu. Tylko po co przed rękami było zapowiadać, że „w ulepszonej formie” powtórzy się go w tym roku! Niepoważnie.

NASZA PONIĘCZONA POCZTA znów wymyśliła coś nowego: klienci mają sami wypełniać drukarki nadające listy polecione. Jak tak dalej pójdzie, sam będę musiał wystukiwać telegramy. A jeżeli znajdą się naśladow-

cy, to wydziały finansowe będą mnie wzywały, abym sam sobie napisał nakaz płatniczy, komornik — abym sam sobie zrobił zajęcia, a MO zaproponuje mi własnoręczne napisanie protokołu ze złożonych w komisariacie zeznań. No tak, ale życie bez zmian byłoby bezbarwne i nudne. A może handel, który podobnie jak poczta wciąga cierpi na brak personelu, poprosi abym sam od siebie inkasował należność?

JERZY RAWICZ, którego nigdy nie mogłem pokonać w ping-pongu, drukuje w „Literaturze” cykl o przedwojennej organizacji Pogotowie Patriotów Polskich. Prezentując niejakiemu Witoldowi Gorczyńskiemu, Rawicz twierdzi, że gen. S. Szeptycki i A. Pragier „niemal identycznie opisują go”. Na dowód czego przytacza opinie Szeptyckiego: „Ubrany był bardzo odziewnie; w spodnie w kratkę, sztylpy sportowe i takąż czapkę”. Pragier zaś napisał: „Miał ogromne wąsiska, ucerzonione chyba czernidłem do butów, bo zawsze ślisać, chodził w bekiesz, w plaskiej barankowej czapce”. Jakim cudem w tych opisach można dopatrzeć się „niemal” identyczności, nie rozumiem.

MOJ ULUBIONY, a od pewnego czasu nieścisłanie pomijany autor — Józef Prutkowski — nadal pisuje w „Szpilkach” o sporcie. W nr 38 przez cały mini-fonetikon oburza się na sprawozdawców telewizyjnych, że po „każdej” konkurencji lekkoatletycznej, gdy

na ekranie ukazuje się wynik, zastrzegają się, iż jest to wynik nieoficjalny. Panie Jozefie — po pierwsze nie każdy wynik lekkoatletyczny mierzy się w minutach, sekundach i setnych sekundy. Po wtóre — sprawozdawców telewizyjnych nie uwielbiam, ale faktem jest, że dość często wynik ustalony później przez komisję jest nieco inny niż pokazano wcześniej na ekranie. Chodzi często o setne sekundy, ale to one właśnie decydują, czy padł rekord świata, Europy lub Polski, czy nie.

NA SASIEDNIEJ STRONIE tychże „Szpilki” Jerzy Urban oburza się na ludzi, występujących na estradzie lub scenie, którzy przy pomocy kosmetyków lub innych zabiegów chcą się wydać młodszy niż są w rzeczywistości. A sprawowała go do tego „pewna pani” występująca z gadaniem na pewnym festiwalu, pani, „której pierwsza młodość poprzedzała zadomowienie się w Polsce wynalazku telewizji”. Ja się owej pani nie dziwię, pamiętając, że już przed wojną Mieczysława Cwiklińska poddała się operacji kosmetycznej, dzięki której niemal do śmierci nie miała na twarzy zmarszczek. A pan, panie Urban, wolałby ją widzieć ze zmarszczkami?

W DRUGIEJ POŁOWIE WRZEŚNIA tysiące studentów zdają egzaminy w dodatkowym terminie. Mogło by się wlec wydawać, że tygodnik studencki „Itd” będzie miał coś

do wydrukowania na tematy studenckie. Ale bodaj tam. W numerze z 18 września na 33 stronach można przeczytać o wielu sprawach, ale zaledwie dwie strony to tematy studenckie. Czyżby cała kolegium redakcyjne już ukonczyło studia?

CAŁKIM INTERESUJĄCA — z mekiego punktu widzenia — moda zapowiada się na zimę. Przynajmniej zdaniem Wiery Sztabowej, która tak pisze w nr 38 „Panoramę”: „Projektanci nowych sukien coraz mniej uwagi poświęcają takim szczegółom jak pasek, kołnierzy czy zapięcie. Większość sukien tych szczegółów po prostu nie ma (...) a zamiast zapięcia — rozcięcie”. Tylko czy paniom nie będzie zbyt zimno?

NIEŚCISŁOŚĆ — podobnie jak „niemal identyczność”, o czym było wyżej — też może być różna. Michał Radgowski w nr 38 „Poetyki” zawiadamia czytelników: „Niescisłe odczytałem Inskrypcje”. Chodzi zaś o to, że przed dwoma miesiącami napisał, iż na pewnym samochodzie widział napis „Ten wos pochodzi z Szkocji”. Teraz zaś okazało się, że po interwencji właściciela owego wozu, że napis brzmiał: „Uwaga — kierowca jest ze Szkocji”. Ponieważ Inskrypcja była sporządzona w języku polskim zachodzi podejrzenie, iż Radgowski pisać umie, natomiast z czytaniem jest znacznie gorzej.

JOD

STRADIVARIUS W BUŁGARII

W TYM roku utworzone w Bułgarii kolekcje państwowej mistrzowskich instrumentów muzycznych. Po skrzypcach „Guarneriego”, na których gra znana artystyka Stojka Milanowa, w jednym ze znanych londyńskich domów muzycznych zakupiono oryginalnego „Stradivariusa”. Na tym wspaniałym instrumencie, nabytym przez Komitet do spraw Kultury i Sztuki, gra obecnie wybitny skrzypek Minczo Minczow.

Szacuje się, że mistrz Stradivarius mógł wykonać ok. 1000 skrzypiec. Do dziś w świecie znanych jest 500 jego instrumentów, ale tylko mniej niż połowa z nich nadaje się do koncertowania.

Autentyczność bułgarskiego „Stradivariusa”, który został zrobiony w 1716 r., potwierdzają trzy certyfikaty wystawione przez najwybitniejszych znawców. Poprzednim posiadaczem instrumentu był zmarły kilka lat temu jeden z włoskich skrzypków.

CARUSO JAK ŻYWI

PO raz pierwszy za tym głosem wyczuwa się człowieka. Niemożliwe jest wierniejsze nagranie — takimi komentarzami powitano „zmarłych” największego tenora naszego stulecia. Nagrane na płycie głos Caruso dzięki pomocy komputera, znów odzyskał swą jasność, dźwięczność i ciepło.

Jest to zasługa prof. Thomasa Stockhama z New Jersey, który od 10 lat prowadzi na uniwersytecie w Utah badania nad możliwościami różnorodnego zastosowania komputerów, np. przy „oczyszczaniu” sygnałów sejsmicznych oraz niewyraźnych zdjęć przestrzeni kosmicznej. Na pomysł uwolnienia nagrania głosu ludzkiego od zakłóceń technicznych T. Stockham wpadł przed 7 laty.

W swoim laboratorium, mieszczącym się w uniwersyteckim parku, przegrał nagranie ze starej płyty na nowoczesne urządzenie, które połączone z komputerem umożliwiło zamianę fal akustycznych na liczby. Podczas dalszej obróbki wyizolowano rezonans tuby nagrywającej. Komputer odróżnił bowiem doskonale „stały” pogłos tuby od ciągle zmieniającego się nateżenia głosu. Dzięki wyrzuceniu niepotrzebnych liczb i powtórnej zamianie tak uformowanego programu na fale akustyczne, głos Caruso uwolniony został od balastu szumów wywołanych niedoskonałościami ówczesnych urządzeń nagrywających.

Zachęcony powodzeniem, prof. Stockham przygotował się do podobnego uszlachetnienia dalszych starych nagrań. Laboratorium opuściła już oczyszczona z szumu, nagrana w 1924 r. „Błękitna rapsodia” Gershwina.

NAUKOWIEC I KOMPOZYTOR

DWA sukcesy twórcze odniósł w tym roku kijowianin — Michał Żerbin. Dopiero co ukończony II koncert na głos i orkiestrę włączony został do repertuaru kilku zespołów symfonicznych, a praca poświęcona wytrzymałości konstrukcji stalowych spotkała się z wysoką oceną specjalistów.

Nazwisko Żerbina jest jednakowo dobrze znane w środowisku muzycznym jak i konstruktorów budowlanych. Jest on autorem ponad 250 kompozycji. Szczególna popularność przyniósł mu I koncert na głos i orkiestrę, który wykonywany był na wielu estradach Kraju Rad, a także poza jego granicami. Profesor doktor nauk technicznych Michał Żerbin już od wielu lat łączy kompozycje z pracą naukową. Jest kierownikiem Katedry w Kijowskim Instytucie Inżynierjno-Budowlanym, autorem ponad stu prac z dziedziny budownictwa kolejowego.

KRZYŻÓWKA (nr 20)

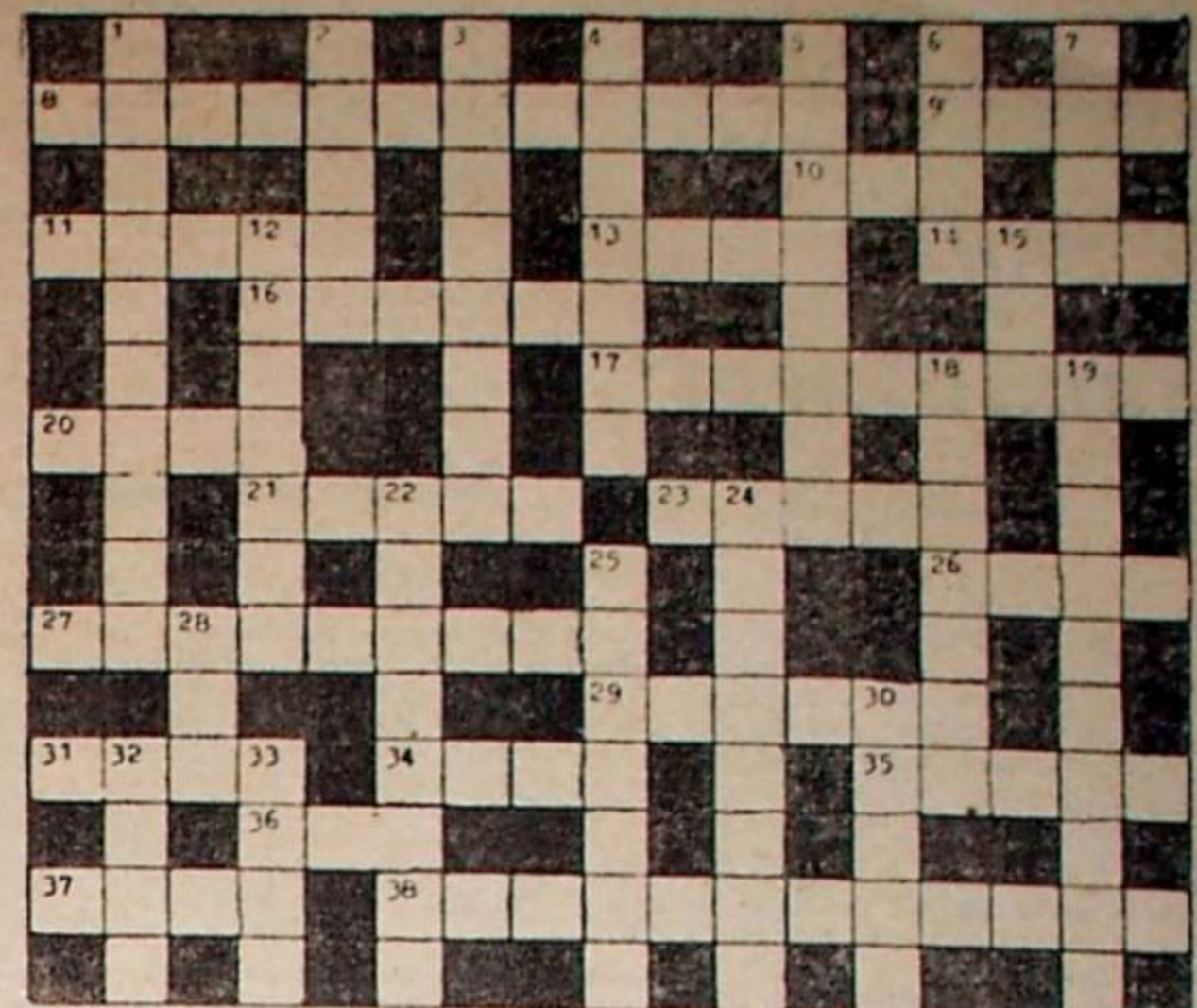
Poziomo: 1. współczesny pisarz polski, autor „Czterech pancernych i psa”, 9. klimat, 10. droga żelazna, 11. kozacki oficer, 12. wenecki naczelnik państwa, 14. państwo socjalistyczne w Ameryce, 16. australijski torbacznik, 17. mityczny król Teb, pod którego postacią Zeus został ojcem Heraklesa, 20. zwierzę hodowlane, 21. biblijny ojciec Jakuba i Eżawy, 23. makabryczne trofeum indiańskie, 26. solówka operowa, 27. państwo w Ameryce środkowej, 29. roślina oleista, 31. część naleźności, 34. futro z ichory, 35. sucha trawa, 36. budynek mieszkalny, 37. 60 sztuk, 38. współczesny pisarz polski, autor „Sławy i chwaly”.

Pionowo: 1. najbardziej płodny pisarz polski, 2. konserwuje papę na dachu, 3. tytułowa bohaterka tragedii Sofoklesa, 4. druga potęga, 5. konieczny składnik pożywienia, 6. dźwiga głowę, 7. ptactwo domowe, 12. republika radziecka, 15. jeden z kantonów Szwajcarii, 18. pisarz polski, autor „Romansu pani majstrowej”, 19. głowonóg z 8 ramionami, 22. wyższa uczelnia, 24. popularna konserwa z sardeli, 25. małżonka z „Nedzników”, 28. zwierzę domowe, 30. kwiat jesienny, 32. rzymski bóg miłości, 33. imię wieszaka.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-951 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 18

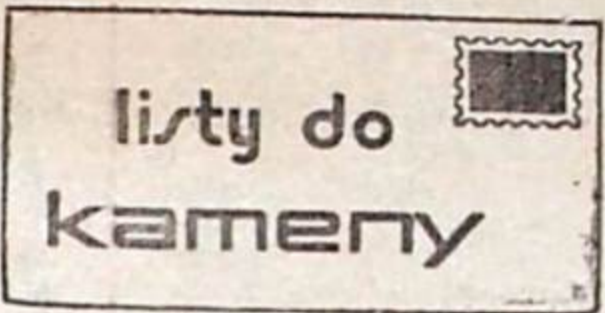
Poziomo: maska, Iskra, Murek, ciasto, Bucek, Niagara, Este, Sobieski, schowek, Efez, eliksir, reaktor, cena, laktosa, wachlarz, Lear, Nalecki, wianek, zwłoki, Charon, salto, Gracz.



Pionowo: ameba, Grochowiak, Mickiewicz, stądek, strach, Róża, konser, brankard, sielawa, Czechowicz, weterynarz, berlina, realizm, odczyt, Arkona, akant, luna.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki

nr 18 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Bohdan Bieńkowski 20-325 Lublin Droga Męczenników Majdanka 13/1, Kowalczyk Stanisław 20-416 Lublin Łazienkowska 14/4, Uliasz Antonina 20-612 Lublin Al. PKWN 2/60, Libucha Miłobina Miejska Biblioteka Publiczna 28-100 Strzyżów nad Wisłokiem ul. Przecławczyka 2



ŻOŁNIERSKA MOGIŁA

W nr 112 „Kurier Lubelski” zamieszczono artykuł pt. „Porządkowanie żołnierskich mogił”, z którego dowiadujemy się, że wcale się robi w porządku sprawa na cmentarzach lubelskich. Ale ta akcja obciąża trzeba kontynuować również mogiły żołnierskie mniej znane społeczeństwu, jak na przykład niewielka mogiłka w Starym Lesie, nie opodal Leśniczówki. Jak poinformowali mnie mieszkańcy Leśniczówki, pochowano tam żołnierza rosyjskiego Nazwisko jego jest nieznane, 33 lata minęło od zawstęchu wojennego, w której żołnierz oddał życie „za wolność naszą i waszą” i od tamtej pory spoczywa w samotnej mogiłce zagubionej w ciemnym gąszczu lasu. Dzieciaki z pobliskich domków namietają o niej i przynoszą kwiatki. Poza tym jednak nikt nie zainteresował się tą sprawą.

Prochy żołnierza należało niezwłocznie przenieść na wojсковy cmentarz w Lublinie, gdzie spoczywają jego towarzysze broni.

Andrzej Czarkowski
Lublin

ASEKURACJA GALANTERYJNA

Spółdzielnia pracy „Galanteria” ze Szczecina domaga do skrócenia portfela z 55 zł kartkę z takim oto przepisem na „konserwację” wyrobu, który

należy „chronić przed: nieforemnym zadaniem utrudniającym swobodne zamknięcie torby, gdyż powoduje on odkształcenie wyrobu; nadmiernym obciążeniem; uszkodzeniem mechanicznym; przesuwaniem ścierającym ochronne pulki i okucia wyrobu; zetknięciem z urzędzeniami orzeźwczymi, rozpuszczalnikami organicznymi; temperaturą poniżej -15 C; temperaturą powyżej +150 C”.

Następnie spółdzielnia składa nabywcy „Zuczenta: „Zuczemu zadowolenia z użytkowania naszych wyrobów i prosimy o nadsyłanie uwag, które pomogą nam w podniesieniu jakości wyrobów”. Za pośrednictwem „Kamery” przesyłam zatem swoją uwagę w formie pytania: co mam robić z produktem spółdzielni „Galanteria” i do czego właściciele stali portfelki? W oczekiwaniu na odpowiedź powieściem go na kotku.

Janusz Sitkol
Puławy

OBYCZAJE

Było to niedawno na dworcu kolejowym Warszawa Wschodnia. Miałem bilet na pociąg pospieszny I klasy do Torunia, więc expresem „Kujawiak”, który miał odejść w tym kierunku za kilka minut, mogłem techać, ale II klasa, o czym poinformowała mnie kasjerka PKP, sprzedając mi bilecik. Na peronie podszedł jednak do konduktora, chcąc uwolnić się, czy przeczytaście bilet ważny jest na „dwójkę”. A on mi odpowiedział, że absolutnie nie, że muszę jeszcze donieść. Na potwierdzenie swoich słów sięgnął do faktury urzędowego wykazu i zaczął szukać w nim prawdy i prawa. Po chwili powiedział, że bilet nie odpowiadał się do kasy, bo nie zdeje. „Widzi pan do dwójki, tam, gdzie konduktorka sprawdza bilet”. Poszedłem klina na moją informację, jaka urzędowa mnie kasjerka. Na wszelki wypadek zapomniałem konduktorkę, czy faktycznie muszę coś donieść. Ta zaś po obejrzeniu biletu powiedziała, że nie, że wszystko jest w porządku. No dobrze, ale pani kolega powiedział mi coś innego! I wtedy usłyszałem krótką odpowiedź: „Na obrot”.

Pociąg chodzą u nas niepunktualnie,

ale konduktorki mamy szczerą. Dobrze i to, nieprawdaż?!

Józef Kański
Lublin

NIE CZYTAJĄ?

Przeczytałem niedawno w prasie, że województwo zamojskie zajmuje ostatnie miejsce w kraju pod względem ilości piensiedzy wydawniczych na zakup książek. A mnie spróbujcie nie chce wierzyć, że informacja ta zgodna jest ze stanem faktycznym. No bo jak to? Zamojszczyzna nie należy do regionu najuboższych w Polsce, posiada świetne tradycje wydawnicze i biblioteczne, śledząc lat międzywojennych. W Zamościu istnieje wiele szkół średnich, m. in. znane liceum sztuk plastycznych — i na takim terenie ludzie nie chcą wywalać trochę piensiedzy na książki, nie chcą czytać? Warto by zbadać całą sprawę w sposób dziennikarski, co polecam „Kamery”.

Anna Król
Zamość

Od redakcji: Dziękujemy za sugestię. Nam także problem wydał się wart bliższej obserwacji.

PAMIETNIKI CASANOVY

Podobała nam się pamiątka Casanovy w komiksowej redakcji Krystyny Wójcik. Mam tylko jedną prośbę: czy ruszycie o postać, biorąc udział w różnych ciekawych scenkach, nie można by przydać nieco więcej ułogów?!

Andrzej Kurowski
Elżbieta Frackiewicz
Radom

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniowski.

Redaguje zespół: Maria Bechzyce-Rudnicka, Jerzy Dostatni, sekretarz redakcji, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Mariela Podgórska (redaktor techniczny) — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA—KSIĄZKA—RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

- do 25 listopada na styczeń i kwartał i półrocze roku następnego i na cały rok następny.
- do dnia 10 listopada poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 7 zł.

Jednostki gospodarki społecznej instytucji i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA—KSIĄZKA—RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem w wysyłce za granicę która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA—KSIĄZKA—RUCH” Centrala Księgarska Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-508 Warszawa Konto PKO nr 131-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątki w godz. 14-16.

Wydawca RSW „Prasa—Książka—Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN Unicka 4. Zam. 2394 J-4.

Numer tamali: Wiktor Mada i Jerzy Kotmider, drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurędy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 235-93, sekretarz redakcji 216-93, dział publicystyki i literacki 275-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Nr indeksu 26251

W kółku „familijnem”

Janusz Przybysz

I.

DO znajomego przyjechała kuzynka z dzieckiem na ręku. — Ho, ho! — ucieszył się ten znajomy. — Kto to do nas przyjechał, kogo my widzimy? Ale dobrze, Tadzinku, że ty przyjechałaś, ty Tadzinku z wujkiem do zoologu pójdziesz i wujek ci pokaze węza — pytona! — Węza — pytona? — skrzywił się Tadzinek. — Węza — pytona to ja już widziałem w telewizji.

No więc moje wiadomości z Poznania to będą takie właśnie węze dla dorosłych. W naszym rozpędzonym wieku coraz trudniej o nowości, zanim coś dojrzeje do periodyku, już stare jak ten tygodniowy chlebek serwowany tutejszej klienteli w piątki przed wolną sobotą. — A świeży ten chlebek, pani, a świeży? — A świeży, kochana. Z nocy! — Z nocy to te chlebki na pewno są, tyle że nie wiadomo z której.

2.

Występy artystów zawsze ściągały rzesze melomanów. W Pleszewie na przykład — „koncert 31 stycznia 1874 roku przez amatorów kółka pleszewskiego na cel dobroczynny dany powiódł się jak najzupelniej. Publiczność z kilku powiatów zebrała okazała swe zadowolenie bawiąc się nie tylko na koncercie, ale i dnia następnego jakoby w kółku familijnem. Centra (jak zauważył ówczesny korespondent) zawsze ściągały choćby z powiatu publiczność zlaknioną wzruszeń oraz zabawy”.

Miasto Pleszew nie jest jedyną

metropolią ściągnającą publiczność. Poznańskie teatry wciąż wypełnia publiczność ściągnięta choćby z pegerów, a teatry warszawskie, które tu zjeżdżają od święta ściągnają pod kasy „rzesze miejscowych miłośników teatru” — jak ich z emfazą określa tutejsza prasa. W rzeczywistości wiadomość o gościnnym występie żadnego miłośnika już nie egzaltuje, na wieść o występie miłośnik patrzy, co będzie wieczorem w telewizji?

Obce występy to są w Poznaniu rzeche msze dla kółka familijnego, które skrzykuje się sobie tylko znanymi kanałami, a następnie zbiega na salę ścieżkami gdzieś z okolic kuchni. Kto wymyślił tutejsze zasady dystrybucji biletów, nie wiadomo, w każdym razie funkcjonują one wzorowo i kiedy wśród bicia w bębny ukazują się plakaty dla ludu, w kasie właściwie nic już nie ma poza twarzą kasjerki. Obłęd tego procederu sprasającego do pustej kasy „rzesze miłośników teatru” jest jednak tylko pozorny. Ogón miłośników przed kasą spełnia rolę doniosłą: po pierwsze dowodzi ukochania sztuk w tych okolicach, co jest ważne do celów statystycznych, po drugie świadczy, że muzy są tu laskawe każdemu, nawet prostakowi z ulicy. Przede wszystkim jednak ogón przed kasą tworzy wdzięczny parawan dla dystrybucji, która bez ogona mogłaby budzić niejakie wątpliwości.

W kolejce jest wesoło, bo tłum stoi gęsty jak przed złotnikiem po nadejściu drogich kamieni. Mieszają się ogony i języki, nastrój jak na wieży Babel, każdy mówi swoją mo-

wą. — Panie, czy tu na teatr? — Na teatr ostatni jest ten pan w błuzce! — Stałem cierpliwie dwie godziny, jak się okazało niepotrzebnie, bo to były bilety na popołudniową przygotowaną dodatkowo „na specjalne życzenie miłośników teatru”. Z biletu zrezygnowałem. W lecie na popołudniowo byłem po raz ostatni przed wojną, ze szkołą. Już mnie nawet nie intrygowało, kiedy i jakim cudem sprzedano bilety na pięć normalnych „wieczorówek”.

3.

Nie iść do teatru to nie jest nie-szczęście. W Poznaniu rozrywek pełno. Kto nie może iść do teatru, może popatrzeć na roboty drogowe.

Równo z początkiem lata na główne skrzyżowanie przy zamku weszły spychacze. Przedsięwzięcie jest poważne, a jego celem jest przystosowanie Poznania do życia w dwudziestym wieku, czyli do przepuszczenia przez Poznań jak największej liczby samochodów, czyli wepchnięcia ich do śródmieścia.

Poznań jest to miasto dosyć stare. Najstarsze jego ślady pochodzą z paleolitu. Gród powstał tu w wieku ósmym, a osada na prawie magdeburskim w wieku trzynastym za księcia Przemysła. Na fundamentach, które wówczas powstały, nadal wznosi się centrum tego grodziszca, dzięki czemu poruszać się tu coraz trudniej, jeździć już nie można prawie wcale, a oddycha się wyłącznie roztworem ołowiu w smole. Do niedawna nie było tu ani jednej porządnej przelotowej ulicy, każdą coś przecinało — plot, mur, ogród zoologiczny lub chalupa. Nic dziwnego, że taka radość towarzyszy robotom drogowym. Jeden nawet napisał, że na nowym skrzyżowaniu będzie czyste powietrze.

Entuzjazm to już nie moja specjalność. Ja ruchu w śródmieściu zakazalbym w ogóle. Śródmieście Poznania, bez względu na przebudowy, ma to do siebie, że nadaje się tylko dla bryczek i rowerów, bo jest to śródmieście na fundamentach księcia Przemysła. Powietrze natomiast potrzeba nie tyle na skrzyżowaniu, ile w mieszkaniu. Ale o tym, jak dotąd, nikt nie pomyślał, bo nikt nie chce się ośmieszyć.

czas 2552/1977/20

RYS. MITKO VACEW



Casanova Pamietniki rys Krystyna Wojcik

3.

PEWNEGO RANKA PRZYSZŁA DO MEGO ŁÓZKA PRZYNOŚZĄC PARE, BIAŁYCH PONCZOCH - POWIEDZIAŁA, ŻE MUSI JE PRZYMIERZYĆ MI SAMA...
...NIE PYTAJĄC O ZGODE, PRZYSTAPIŁA DO MYCIA MNIE.

BETTINA POSUNEKA ZBYT DALEKO SWĄ TROSKE O SCHŁUDNOŚĆ

...UZNAŁEM SIĘ WINNYM I PROSIŁEM O PRZEBA-CZENIE - ODPOWIEDZIAŁA ROBEAŻLIWYM TONEM,

BETTINY WCIAŻ NIE BYŁO. KREW WE MNIE ZAWRZAŁA!

...HAŁAS Z POKOJU BETTINY! WYPADŁ Z NICH CORDIANI KOPNIECIEM ZWALIWSZY MNIE Z NOG!

JEJ CIEKAWOŚĆ SPRAWIAŁA MI ROZKOSZ TAK GWALTOWNĄ!

ZE WINA JEST PO JEJ STRONIE - LECZ, ŻE TO SIĘ JUŻ NIE POWTÓRZY! ZDAWAŁO MI SIĘ, ŻE POPEŁNIŁEM ZBRODNIE, KTÓRĄ MOGŁEM OKUPIC TYLKO MAŁO ZENSIWEM

BETTINA PRZESTAŁA PRZYCHO-DZIC

ZDECY DOWAŁEM SIĘ ZEJŚĆ POD DRZWI BETTINY ZAMKNIĘTE!

USIADŁEM SZCZĘKA JĄC ZĘBAMI

OTRUKIŁ ICH WYDAŁO MI SIĘ NIEWYSTARCZAJĄCE!

...ZNAŁAZŁEM MOMENT, ABY POWIE-DZIEĆ BETTINIE, IŻ ZOSTAWIĘ DRZWI POKOJU OTWARTE

CZĘKAŁEM DO POŁNOCY